

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000

2
(26) 2001

Rocznica Hemarowska: życie i twórczość Poety ♦ O Juliuszu Petrym i Marianie Wnuku ♦ Rozmowa z profesorem Niciją ♦ Wystawa plastyków o lwowskich korzeniach ♦ O gen. Sikorskim i Eugeniuszu Bodo ♦ Teksty B. Czałczyńskiej i M. Witwickiego ♦ Słownik ♦ Kronika ♦ Książki

POLSKA KULTURA LWOWA NIE MOŻE ZAGINAĆ

Kolejne zagrożenie przeżyliśmy. Mamy – w imieniu Towarzystwa, redakcji oraz licznych i wiernych Czytelników – uczucie wdzięczności dla Pana Prezydenta Krakowa Andrzeja Gołasia, Pani Wiceprezydent Teresy Starmach oraz całego Wydziału Edukacji i Kulturu Urzędu Miasta Krakowa za ich zrozumienie potrzeby istnienia naszego kwartalnika i jego – podobno – nienajgorszego poziomu, a także oblicza.

W pierwszy rok dwudziestego pierwszego stulecia i trzeciego tysiąclecia weszliśmy z umiarkowanym optymizmem. Rozglądamy się dookoła i widzimy gruntowne przeobrażenia we wszystkim, co dotyczy ludzkości, w tym oczywiście Europy. Jedne państwa łączą się w wielki organizm, inne, sztucznie zlepione, rozpadają się. Przykładem Jugosławia: kraje posługujące się tymi samymi albo podobnymi językami południowosłowiańskimi, zjednoczone przez kilkadziesiąt lat – rozeszły się i jeszcze dalej rozchodzą, wracając do dawniejszych powiązań, ukształtowanych w ciągu drugiego tysiąclecia. Katolickie Chorwacja, Słowenia ciążą ku Austrii i Węgrom, prawosławne i islamskie mają inne opcje (choć i one – bardziej z przyziemnych, bo nie kulturowych, lecz ekonomicznych względów – chętnie zapukałyby do jednoczącego się Zachodu). Czy Jugosławia jest jedyna? Tendencje odśrodkowe ujawniają się co pewien czas nawet na Zachodzie: w Niemczech, Hiszpanii, Włoszech, jednak dzisiejsze układy na Zachodzie będą na pewno trwalsze.

Nie można liczyć na to, że części rozpadających się państw dołączą do innych (niestety? na szczęście?). Przed nami Europa regionów, trudno wszak przypuścić, by ci, którzy zawiedli się na dotychczasowych zależnościach, chcieli się zaraz podłożyć pod inne. Dalsza przyszłość dopiero okaże, jak ułożą się wzajemne relacje najbliższych sąsiadów.

Jedno wydaje się pewne: regiony nie obronią się przed otwarciem na przepływ ludzi (także powrotów), dóbr, praw do własności. Nie obroni się przed tym Polska, nie obronią się wszyscy nasi sąsiedzi. To tylko kwestia czasu.

A czas biegnie. Pierwszy kwartał pierwszego roku już minął. Drugi leci.

* * *

Niniejszy numer poświęcamy kulturze, w tym przede wszystkim Marianowi Hemarowi z okazji 100. rocznicy jego urodzin. Jego życie związało się z trzema miastami: Lwowem, Warszawą i Londynem, ale lwowianinem był zawsze.

W problematykę kultury wpisuje się również drugi ważny temat tego numeru: dokumentacja grudniowej wystawy plastyków, żyjących w Krakowie, lecz szczytujących się lwowskim rodowodem. To mogli przecież być po prostu lwowscy artyści! A może udałoby się w niedalekiej przyszłości urządzić podobną wystawę w skali ogólnopolskiej (nie wyłączając polskich artystów żyjących we Lwowie!) czy ogólnoświatowej? Czego wszyscy sobie życzymy.

* * *

Wielowiekowa polska kultura Lwowa nie może zaginać. O tym powinni pamiętać wszyscy Polacy, bo język jest częścią i lepiszczem kultury narodu. W minionych dwóch wiekach parokrotnie usiłowano odebrać kulturę i język całemu albo części naszego narodu: czynili to Austriacy (do czasu autonomii), Niemcy i Rosjanie, potem hitlerowcy i sowieci, nie licząc pomniejszych twórców politycznych. Ich zapędy jednak były czytelne: własny interes, podszyty nacjonalizmem (albo „internacjonalizmem”). Nie zdarzyło się jednak, by robili to „swoi”.

Każdy naród lub jego część ma prawo do własnej kultury i języka. Gwarantują to prawa cywilizowanej części ludzkości. Chcielibyśmy mieć do czynienia tylko z ludźmi cywilizowanymi.

FELIETON O POECIE

*B*ył chyba sam środek wojny i beznadziei. Siedziałam w ciemnym pokoju, który oświetlała tylko stojąca na stole świeczka. Z kątów wychylały się coraz to inne cienie, za zasłoniętymi oknami słychać było miarowe uderzenia o bruk ciężkich butów niemieckich żołnierzy, patrolujących – jak mi się wtedy wydawało – cały świat. Zeszyty do nauki miałam rozłożone, ale tak naprawdę – to czytałam książki. Oczywiście całą literaturę polską, a zwłaszcza tę, która podnosiła na duchu i pozwalała zapomnieć o okropnościach codziennego życia. I kiedyś upadła mi w ręce książka zatytułowana „Koni Trojański”. O jej autorze Marianie Hemarze nigdy jeszcze nie słyszałam, a tu nagle zaczęłam czytać wiersze o miłości przechowywanej w termosie, o przekleństwie inteligencji:

*Rzecz w tym właśnie – że można i tak
I siak można, i także na wspak...*

albo:

*...Jakby za pawim z tyłu ogonem,
Po świecie chodzę z milionem
Nie zatławionych spraw.*

A cóż to była za zabawa z wierszem, który zaczynał się tak:

*...Czytam – myślę: psiakrewn, rety!
Jaka szkoda, że niestety...*

poczem następuje wyliczanka: cztery bite strony znanych z literatury i historii par. Kogóż tam nie ma! Począwszy od Julii i Romea, Abrahama i Sary, aż do Jaremy i Gryzeldy, a wszystko to pięknie zrymowane. Kończy się ta wyliczanka westchnieniem... nie czytali van der Welda! (chodzi oczywiście o „Mażeństwo doskonałe”). A cóż to była za zabawa rozpoznawanie wszystkich par.

Niestety z autorem tych wierszy los nie obszedł się łaskawie. Pozostał na emigracji w obcym dla siebie kraju, mieście. Los emigranta nie jest losem wesobym, ale Hemar nie poddawał się. Występował w kabarecie, pisał wiersze, a wszystko co robił i pisał było tęsknotą za utraconym Lwowem. I tak my tu w kraju zazdrościliśmy tym za granicą wolności i dobrobytu, a oni nam, że możemy chodzić po znanych im niegdyś ulicach. Poeta prosi potomnych, by „... słowo po słowie spamiętali to tylko, co pisałem o Lwowie...” i że jego sława jest dla niego droga, jeśli jest sławą Lwowa, jego miasta. I –

*...By w szepcie moich wierszy,
W rymów moich szeleście,
Została iskrą w popiele
Pamięć o moim mieście...*

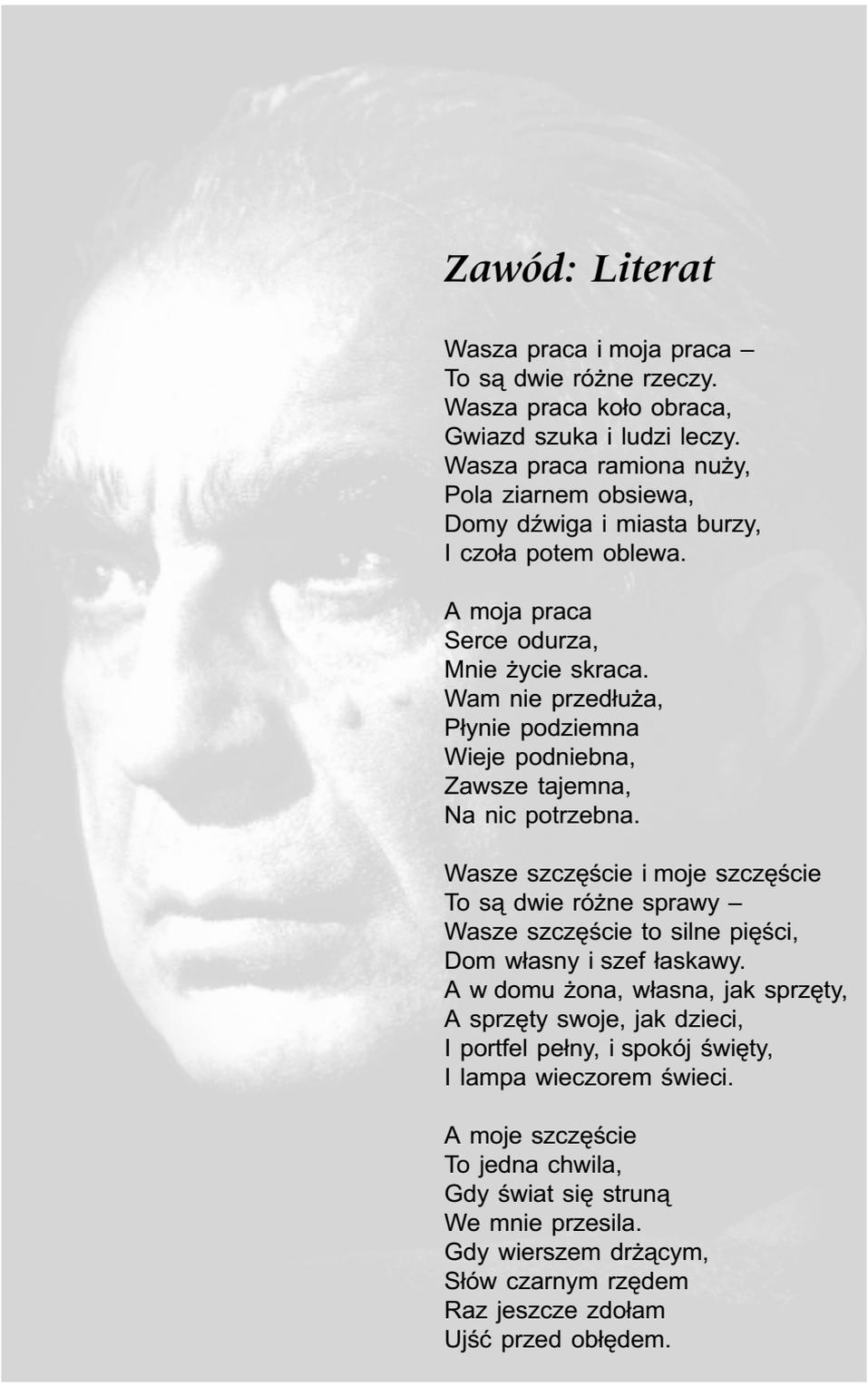
Myślę, że z tej poezji zostanie coś więcej niż iskra w popiele. A my, jego czytelnicy, będziemy mu zawsze wdzięczni za uśmiech, który za jego sprawą przewinął się przez okrucieństwa wojny.

Barbara Czałczyńska

**Wszystkim życzliwym dla naszych Kresów lwowskich i wileńskich, stanisławowskich
i tarnopolskich, łuckich i grodzieńskich –
Wszystkim Ofiarodawcom na rzecz odłączonych Rodaków, Opiekunom kresowej młodzieży –
Sponsorom, Autorom i Czytelnikom naszego kwartalnika –
wszelkich łask Zmartwychwstałego Pana**

życzą

**Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
oraz Redakcja „Cracovia-Leopolis”. Wesolego Alleluja!**



Zawód: Literat

Wasza praca i moja praca –
To są dwie różne rzeczy.
Wasza praca koło obraca,
Gwiazd szuka i ludzi leczy.
Wasza praca ramiona nuży,
Pola ziarnem obsiewa,
Domy dźwiga i miasta burzy,
I czoła potem oblewa.

A moja praca
Serce odurza,
Mnie życie skraca.
Wam nie przedłuża,
Płynie podziemna
Wieje podniebna,
Zawsze tajemna,
Na nic potrzebna.

Wasze szczęście i moje szczęście
To są dwie różne sprawy –
Wasze szczęście to silne pięści,
Dom własny i szef łaskawy.
A w domu żona, własna, jak sprzęty,
A sprzęty swoje, jak dzieci,
I portfel pełny, i spokój święty,
I lampa wieczorem świeci.

A moje szczęście
To jedna chwila,
Gdy świat się struną
We mnie przesila.
Gdy wierszem drżącym,
Słów czarnym rzędem
Raz jeszcze zdołam
Ujść przed obłędem.

Gdybym

(parafraza z Ignacego Krasickiego)

Gdybym ja był Francuzem, to bym
z pantafelku
Dyktował światu gusta i zadawał szyku.

Gdybym ja był Holendrem, to bym
krowy doił.

Gdybym ja był Prusakiem, to bym
wojsko zbroił.

W górę nos bym zadzierał, gdybym był
Hiszpanem.

Gdybym był Włochem, piałbym w operze
sopranem.

Gdybym był Angielczykiem, to bym
flegmę ziębił.

Gdybym był Rosjanem, sąsiadów bym
gnębił.

Ja bym stawał na warcie, gdybym był
Szwajcarem.

Gdybym ja był Turczynek, miałbym
żeński harem.

Gdybym ja był Węgrzynek, wino piłbym
tanio.

A jak to być Polakiem, gdy Polaków
gania?

A jak to być Polakiem, kiedy Polak w dole
I wszystko co miał stracił i popadł
w niewolę?

Niedobrze być nierządnym, słabym,
mizerakiem,

Wiem ja o tym. Jednakże wolę być
Polakiem.

Moja ojczyzna

dla Karin Tiché Falenckiej

Moja ojczyzna jest bardzo piękna,
Dumna i młoda,
Słońce w niej świeci każdego dnia
I wieczna w niej trwa pogoda.

Każdej wiosny zielona
I każdej zimy biała,
Moja ojczyzna jest cała muzyką
I śpiewem jest cała.

Woda w niej szemrze i szumi las
I pachną polne kwiatki.
Pocałowała mnie pierwszy raz
Ustami żydowskiej matki.

Zaczarowała mnie pierwszy raz
Kołysanką matczyną,
Odtąd została po wieczny czas
Moją jedną, jedną.

Paszport w niej bezpieczeństwa mam,
Taki jaki przystoi,
Taki jaki należy się nam
W wolnej ojczyźnie mojej.

Moją ojczyzną jest polska mowa,
Słowa wierszem wiązane.
Gdy umrę, wszystko mi jedno gdzie,
Gdy umrę, w niej pochowają mnie
I w niej zostaną.

Monte Cassino 1969

Kogo pytać, jeśli nie tych trumien,
Gdzie rzędami pokładli się śpiąc?
Za nich nikt odpowiedzieć nie umie,
Ani wiersz, ani wódz, ani ksiądz.

Oni jedni wiedzą, co to znaczy.
Oni jedni mają prawo rzec,
Że nie można było inaczej,
Tylko trupem na tym szczycie lec.

Na tej górze, na tej skale, skąd
Syzyfowy głaz znów się w dół toczy.
Ale ci, co tu wstaną na Sąd,
Będą mogli Bogu spojrzeć w oczy.

W kirach, w chmurach armatniego dymu,
On tę drogę Sam wyznaczył im:
Zawsze wiodła przez Polskę do Rzymu.
Zawsze wiedzie do Polski przez Rzym.

LWÓW–WARSZAWA–LONDYN

Sto lat mija, gdy 4 kwietnia 1901 roku urodził się we Lwowie Poeta. Jego rodzice, Ignacy Hescheles i Berta z domu Lem mieszkali przy ulicy Jagiellońskiej. Gdy minęło sześćsięć lat, rozpoczął naukę w VII Gimnazjum przy ul. Sokola. Łaciny i greki uczył tam Franciszek Smolka, a znajomość tych języków przydała się po latach, gdy przekładał wiersze Horacego. Po zdaniu matury zapisał się wprawdzie na medycynę Uniwersytetu Jana Kazimierza, ale jako kierunek dodatkowy obrał sobie – filozofię. Uczęszczał na kursy teatralne, grał na fortepianie. W wieku 17 lat wziął udział w wojnie polsko-ukraińskiej, potem zgłosił się jako ochotnik do wojska i przeszedł kampanię polsko-bolszewicką 1920 roku.

Po 1920 r. wrócił na studia, ale ich nie ukończył, bo jego pasją, jego życiem stała się literatura. Miał wielki talent i z łatwością tworzył satyry, ballady, fraszki, piosenki oraz wiersze o miłości i urodzie lwowianek. W tym mieście według niego mieszkały najwspanialsze kobiety, najpiękniej pachniały bzy i kasztany, i tam było miejsce najmiłsze dla młodzieńczego serca (może aż do przesady, bo próbował samobójstwa po nieudanym romansie z mężatką).

Kiedy zaczynał być sławny, zwabili go do Warszawy. Wyjechał tam w 1924 roku i związał się z teatrami kabaretowymi i dramatycznymi. Tworzył kuplety, skecze i piosenki. Jego utwory, wykonywane przez najlepszych aktorów, podobały się publiczności. Zyskał rozgłos i sławę, ale tęsknił za Lwowem:

*W połowie marca, w jeden z pierwszych
dni wiosny,
Dostrzegłem źdźbła młodej zieleni na
skwerku, w zrudziałej trawie.
Ten fakt wydał mi się dziwnie żalony.
Zrozumiałem, jak bardzo jestem obcy
w Warszawie.
We Lwowie było inaczej. Tam czułem
jej oddech na karku –
Śnieg topniał i chłodem wiało, a ja już
o niego wiedziałem,*

*Gdym na spotkanie z nią w nocy biegł
do Stryjskiego Parku,
Rzucała mi się na usta półnagim pach-
nącym ciałem.
Raz jeszcze być chłopcem płonącym,
głową w wiosenny wiatr wspartym!
Marzyć o tomie wierszy, kochać się
w tamtej pani...
O wiosno w roku dziewięćset trzydzie-
stym czwartym –
Jesteśmy oboje zbłąkami.*

Warszawa 1934

Współpracował ze znanymi poetami swojego czasu – Lechoniem, Słonimskim, Tuwimem i Gałczyńskim. Jego sława rosła, dużo pisał, ale też bawił się, grał w karty, romansował. Zakochał się w pięknej aktorce Marii Modzelewskiej, dla niej przyjął chrzest i w 1936 r. związał się z nią węzłem małżeńskim. Stadło nie okazało się udane, choć *mieli willę, ogródek i psa*, wyjeżdżali na narty do Zakopanego i za granicę, bawili się. Hemar jako pierwszy literat w Warszawie kupił sobie samochód i jeździł nim jak szalony.

W Niemczech do władzy dochodził Hitler. Groźne echa docierają do Polski, kończy się epoka beztrudnych żartów i komedijek. Hemar napisał wtedy *Zaciemnienie, Orzeł czy Rzeszka* i piosenkę *Ten wąsik, ach ten wąsik*, parodiującą Hitlera, wykonywaną przez Sempolińskiego, oraz wiele jeszcze innych kupletów. Dla Hemara początek wojny był końcem świata. Na domiar złego opuściła go żona, która wyjechała z Polski z zaprzyjaźnionymi Beckami. Hemar też musiał opuścić Warszawę, bo – wciągnięty na czarną listę ambasady niemieckiej za satyry polityczne (i w dodatku żydowskie pochodzenie) – był poszukiwany przez gestapo. Szóstego września zabrał do samochodu dwa zaprzyjaźnione małżeństwa, Wierzyńskich i Norblinów, przejazdem pożegnał się z matką we Lwowie. Po drodze zgubił małą walizkę, w której miał

(ciąg dalszy na s. 6)

Sense of humour

Lubimy stwierdzać z dumą
I zgadzać się, bez sporu,
Że sprawdzianem kultury
Jest poczucie humoru.

I że my – jak nikt inny,
Od wieków, od Reja przecie –
Naszym poczuciem humoru
Przodujemy na świecie.

Że w naszej literaturze –
Z tego nas nie obędą! –
Tam Słowacki, tu Rodoć,
Tam Trembecki, tu Fredro!

Jakiegokolwiek nazwisko
Na chybił-trafił wyskub,
Spójrz – Morsztyn! Patrz – Krasicki!
(Dziś by się zdał taki biskup).

Tu Prus, tam Makuszyński,
Nawet Boy, tu Nowaczyński,
Nawet w najnowszych czasach
Młody Ignacy Baliński –

Wspaniały zastęp kpiarzy,
Satyryków, sowizdrzałów,
Ich fraszek i dowcipów,
Pamfletów i kawałów.

Błyszcząca, literatury
Śmiechem kwitnąca połać!
Nasze poczucie humoru –
Jest się na co powołać.

Jesteśmy drwiący, kpiarscy,
Kawalarscy, złośliwi,
Z natury ostrzy, cięci,
Dowcipni i żartobliwi.

W docinkach, fraszkach, żartach,
Bon-motach iście paryskich,
Jak nikt inny umiemy
Drwić z wszystkiego i z wszystkich.

Umiemy kpić z Anglików,
Z Moskali i ze Szwabów,
Z Litwinów, Ukraińców,
Z Czechów, z Żydów, z Arabów.

Z wad, cnót, zalet, zwyczajów,
Z języka i z ubioru –
Kto by się na nas obraził,
Nie ma poczucia humoru.

Tylko – niech Pan Bóg broni,
By ktokolwiek na świecie,
Żartem, fraszką, uwagą,
Słówkiem – maczkiem w gazecie,

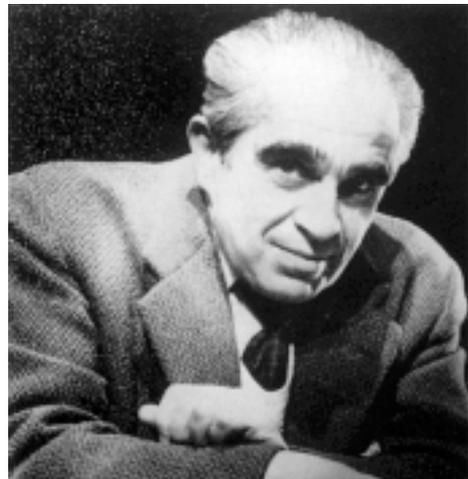
Nas wykpił, z nas zażartował,
Nas tknął – pomyśleć groza!
Już poczucie humoru
Stula się jak mimoza.

Już uśmiech z warg nam ucieka,
Już gniew nas trzęsie srogi,
Już pierś wzbiera rozkoszą
Strasznej martyrologii!

Już krew oczy zalewa,
Rycerska dłoń już na kordzie!
Nasze poczucie humoru
Już każe „walić po mordzie”.

Okrutne dręczy pytanie,
Obawy mam wcale niepełne –
Czy nasze poczucie humoru
Nie jest zbyt jednostronne?

Bo cała ta w humor zabawa
Ma jedno prawo główne:
Jeżeli humor ma prawa –
Niech będą dla wszystkich równe.



Marian Hemar. Fot. T. Marynowicz

sztukę *Cud biednych ludzi*, wiersze i piosenki. Przed ostatnim polskim słupem granicznym na rumuńskiej granicy zatrzymał wóz i zerwał wielki liść z drzewa orzechowego, który oprawił potem w ramy, traktował jak relikwię i kazał się z nim pochować.

Po roku spędzonym w Rumunii wyjechał do Turcji, potem do Palestyny. Nosił mundur Brygady Karpackiej i dla niej skomponował hymn. Założył zespół estradowy, występował z nim na pierwszej linii frontu, współpracował z sekcją Polskiego Radia w Kairze. Powstały wtedy wiersze pełne nostalgii.

Do Londynu dostał się w 1942 r. Naczelnny Wódz zabrał go statkiem, okrężną drogą wokół Afryki. Do końca wojny pracował w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji przy polskim rządzie.

W polskim Klubie „Orzeł Biały” prowadził „Teatr Hemara” – wieczory literacko-muzyczne, kabaret i rewie. Na małej scenie Ogniska Polskiego przygotował ponad 30 premier. Pisał do kilkunastu pism emigracyjnych. W latach 1953–69 współpracował z Radiem „Wolna Europa”. Powstało wtedy ponad 800 audycji tego cyklu.

W swoich utworach londyńskich występował przeciw wojnie, totalitaryzmowi i komunistom. Za ostre słowa potępienia komunizmu został pozbawiony w PRL obywatelstwa, a jego twórczość znalazła się na indeksie. Jednak w Polsce słuchano jego utworów, czytano, krążyły w odpisach. Pisał też prozą: felietony z podróży i o spotkaniach z ciekawymi ludźmi, zebrane w książce *Awantury w rodzinie*. Pisząc nawet o sprawach współczesnych wspominał Lwów i matkę, która gotowała najlepsze pierogi, mecze lwowskiej „Pogoni”. Tam, w Londynie, tylko dla lwowian napisał uroczy wiersz o *Chlibie kulikowskim*. Dla swojej ulubionej Włady, lwowskiej aktorki, napisał *Rozmowę z księżycem* i wiele innych utworów. Pani Włada Majewska, gdy serce Hemara powiedziało *szlus*, zajęła się wydawaniem i publikowaniem jego utworów.

Marian Hemar zmarł 11 lutego 1972 roku w szpitalu Leith Hill koło Dorking, 30 mil od Londynu. Na cichym przykościelnym cmentarzyku wiejskim, wśród zieleni, na płycie nagrobnej widnieje napis:

*Marian Hemar / 1901–1972 / Polish Poet-Writer / Beloved Husband / of Caja**



Nie spełniło się marzenie Hemara, gdy pisał „piosenkę o marzeniu ostatnim”, *Aby kiedyś umierać we Lwowie*. Ale do Polski powrócił jego duch, bo *odniósł zwycięstwo z za grobu*. Piosenki i wiersze Hemara wystawił w Teatrze „Ateneum” Wojciech Młynarski w 1986 r. Przedstawienie było wielokrotnie wznawiane, cieszyło się ogromnym powodzeniem. W Krakowie na scenie „Pod Ratuszem” wystawiono uroczyste widowisko pt. *Perły Kabaretu Mariana Hemara* w reżyserii J. Szydlowskiego i w wykonaniu znakomitych aktorów krakowskich. Jerzy Janicki zrealizował dla TVP kilka dokumentalnych odcinków *Kwadrans z Hemarem*. Także Polski Teatr Ludowy we Lwowie wystawił *Randkę z Hemarem* i pokazał ją w wielu miastach.

Piosenki Hemara docierają do nas także głosami utrwalonymi na przedwojennych płytach: Zuli Pogorzelskiej, Hanki Ordonówny, Miry Zimińskiej, Mieczysława Fogga. Wzruszamy się niezmiennie słysząc *kiedy znów zakwitną białe bzy*.

* *Marian Hemar 1901–1972, polski poeta-pisarz. Ukochany mąż Cai.*

KRYSTYNA GERLACH-CZUMA, ur. we Lwowie. Po wojnie w Krośnie. Studia polonistyczne na UJ 1962–66. Pracowała jako nauczycielka w Jedliczu i Krośnie, od 1971 w bibliotekach krakowskich: Pedagogicznej i AGH.

Valse brune

Za dawnych dni, młodopolskich i lwowskich,
Gdy jeszcze radia nie było i kin,
Cygan-poeta, pan Henryk Zbierzchowski
Przywiózł z Paryża melodię „Valse Brune”.
Usiadł w kawiarni i machnął od ręki,
Przy czarnej kawie, swój tekst „polskich słów”
I w tydzień nutą tej nowej piosenki
Szumiął i brzmiał cały Lwów:

„Gdy ciemność zapada
I światła latarń zapłoną,
Do naszych serc się zakrada
Jakaś tajemna moc.
Hej, serce nam bije,
W winie niech troski zatonał
Szerzej i piękniej się żyje –
Cudna, ach, cudna jest noc...”

Piosnką zataczał się batiar zawiany,
Strażak ją gwizdał, gdy na pożar gnał,
Wiśka w jej rytmie trzepała dywany
I student na mandolinie ją grał.
A gdy wieczór we Lwowie zawlekał,
Biła dziesiąta i w bramie stał stróż –
Kto żyw – przed s z p e r k a do domu
uciekał
I śpiewał – na schodach już

„Hej, serce nam bije,
W winie niech troski zatonał,
Szerzej i piękniej się żyje.
Cudna, ach, cudna jest noc!...”

Dzieckiem słyszałem tę piosnkę we Lwowie.
Po tylu latach pamiętam ją dziś
I tak mi chodzi czasami po głowie
I taka czasem dokucza mi myśl,
Takie sam sobie zadaję pytanie –
Gdy się pół wieku rozwieje jak mgła –
Czy z moich piosenek choć ta jedna zostanie
W czyjej pamięci, jak ta –

„Gdy ciemność zapada
I światła latarń zapłoną,
Do naszych serc się zakrada
Jakaś tajemna moc” –

Ach, serce mi bije –
Piosnki w ciemności utonął
Moje – nie moje – niczyje –
Kiedy zapadnie noc.

Akrobata Mucha

(do popularnej lwowskiej melodii „Kamień na kamieniu”)

Przyjechał do Lwowa akrobata Mucha,
Spadł z dachu na ziemię i wyzionął ducha.

Chciał pokazać ludziom jak on umie zwinnie
Drapać się po gzymsie i chodzić po rynnie.

Chciał pokazać ludziom, że trudności ni ma
I na gładkim murze jak mucha się trzyma.

Chciał się popisywać za bilety wstępu
I najadł się wstydu i narobił sztempu.

Właził na Telieczkową bez poczucia strachu,
Minął drugie piętro... już był blisko dachu...

Wszyscy dech zaparli, cisza była głucha,
Bo on rzeczywiście istny człowiek mucha.

Czy on się poślizgnął, czy się tynek obruszył?
Czy się chwycił gzymsu, a gzyms się
wykruszył –

Nagle z krzykiem leciał w dół, na łeb na
szyję –
Ratujcie mnie ludzie – też ja się zabiję!

Krzyczał przeraźliwie i w połowie krzyku
Trachnął w bruk – i został leżeć na chodniku.

Tak się skończyło straszne widowisko.
Nie drap się za wysoko, to nie spadniesz
nisko.

Są żarty...

Są żarty które mędrzec powie byle komu.
Są żarty które tylko zaufanym szepnie.
Są takie które tylko powtórzy sam sobie
w śmiertelnej tajemnicy chichocący w grobie.

Wiersze Mariana Hemara zamieściliśmy
również w CL 1/98 (*Puścizna*) i CL S/99
(*Liść*).

STARSZY STRZELEC MARIAN HEMAR

Tęsknoty za światem utraconym, za minionym bezpowrotnie czasem i za nami samymi w tamtych miejscach i latach nie da się zmierzyć czy opisać przy użyciu *szkiełka i oka*, można – jedynie sercem. Tak jak czynił to Marian Hemar, gdy pisał o swej tęsknocie za Lwowem. Niewielu umiało to robić równie pięknie. Nikomu zapewne, komu bliski jest Lwów przedwojenny, nie trzeba Hemara przedstawiać, nie sposób byłoby zresztą zmieścić na paru stronach tego wszystkiego, co o nim i o jego twórczości należałoby powiedzieć.

Był przecież najpłodniejszym poetą polskim XX wieku i wszechstronnym pisarzem – obok satyr politycznych i obyczajowych, fraszek i liryków, pisywał dramaty, słuchowiska radiowe, znakomite literackie pastisze (niedoścignioną maestrą osiągnął w jednoaktówkach *Wszystko co najpiękniejsze*), uprawiał krytykę literacką, eseistykę i reportaż, felieton, dokonywał także wysoko ocenianych przekładów (*Ody Horacego* i *Sonetów Szekspira*). Był też jednym z najznakomitszych autorów tekstów kabaretowych, niezapomnianych piosenek (3–4 tysięcy!) i twórcą nowoczesnej satyry politycznej. Po wybuchu wojny – zrazu żołnierz Karpackiej Brygady – stał się rychło jedną z centralnych postaci życia kulturalnego i politycznego emigracji: założycielem bardzo ważnego dla emigrantów „Teatru Hemara” i jednym z „niezlomnych Londyńczyków”, najbardziej nieprzejednanych antykomunistów. Dawał temu m.in. wyraz w nadawanym na antenie Radia Wolna Europa przez 16 lat, co tydzień, „Kabarecie Hemara”, gdzie walczył i z *krwawym chałmem*, *despotą azjatyckim* i z krajową odmianą władzy *knutów*, *szpiclów*, *czervenki*, zaskarbiając sobie ogromną popularność i wdzięczność spragnionych wolnego słowa słuchaczy, cenzorom zaś – *siępaczom puent* – przysparzając niemało pracy.

Jego imponujący dorobek nie zapewnił mu jednak miejsca w kanonie literatury,

w oczach krytyków literackich bowiem na to nie zasłużył. Owszem, „kabareciarz” niezwykle zdolny, ale poeta mierny, z drugiego szeregu – zbyt tradycyjny, epigon romantyzmu, rozmieniający swój talent na drobne w wierszach zbyt doraźnych, nazbyt zacieklonych... Na szczęście innego zdania byli czytelnicy i słuchacze jego poezji.

Być może gdyby nie wojny, losy Hemara potoczyłyby się innym torem, być może nie byłby pisarzem, lecz medykiem. Jednakże wzięwszy udział w wojnie polsko-ukraińskiej przerwał studia medyczne i lata 1919–1920 spędził jako ochotnik w wojsku. Do studiów wprawdzie powrócił, ale ich już nie ukończył.

Magnetyczna siła polskiej literatury sprawiła, że podjął próby pisarskie. Miłość do literatury i zarazem do polskości, zrodzona w sercu Heschelesa-Hemara jeszcze we wczesnej młodości, kazała mu szukać drogi, jak stać się polskim poetą. *Niemal od dzieciństwa żyłem w niezachwianej wierze, że być polskim pisarzem wierszy, lub powieści, to najwyższa ranga ludzka, najwyższa nobilitas, że to znaczy być już pół-duchem, półbogiem na ziemi.* To rozdarcie Żyda – *Polaka ochotniczego*, jak o sobie pisał w wierszu *Trzy powody*, towarzyszyło mu przez całe życie: na zawsze dochował wierności pamięci swych korzeni, jednakże patriotą był polskim (w wieku dojrzałym przyjął też chrzest). Nie zawsze była to miłość łatwa, nie godził się bowiem z Polską *inną jak tylko najlepszą, najszlachetniejszą, najuczciwszą w świecie. Moja nieszczęśliwa miłość nie może pogodzić się z małostką i małostkowością Polaków, z błagą, z pogańską dewocją, z gładkim i pustym frazesem, z tromtadracką nieodpowiedzialnością. Mój patriotyzm nie jest małpią miłością, jest miłością gorzką – gorącą i nieszczęśliwą. Uczyli mnie tej miłości Słowacki, Żeromski i Piłsudski.*

Zrazu nie było mu sądzone zostać „prawdziwym” poetą – pierwsza jego próba lirycz-

na – *Ballada o białym byku* – wydana w 1923 roku, była niestety fatalną pomyłką. Z powodzeniem natomiast zaczynał swą karierę literacką jako satyryk, współpracując z satyrycznym tygodnikiem „Szczutek” i pisząc na potrzeby scenek kabaretowych.

Pierwszy duży sukces przyniosła mu rewia *Łątki lwowskie* wystawiona w Teatrze Miejskim i ona właśnie otworzyła mu drogę do warszawskiego „Qui pro Quo” – drogę do sławy. Wkrótce stał się wśród autorów kabaretowych gwiazdą pierwszej wielkości, równą skamandrytom (z którymi czasem razem pisywał, np. *Szopki polityczne*), autorem szlagierów najbardziej znanych (m.in. *Kiedy znów zakwitną białe bzy, Nie będziesz ty, to będzie inna, Czy ty wiesz, moja mała..., Czy pani Marta..., I chciałabym i boję się, Santa Madonna, poratuj, Mały gigolo*; często używał pseudonimu Harryman), świetnych programów rewiowych, z których jeden – *Orzeł czy Rzeszka* z maja 1939 roku (tam właśnie Sempoliński śpiewał słynny *Ten wąsik, ach, ten wąsik*) wywołał oficjalny protest ambasadora III Rzeszy. Kolejna premiera – programu *Pakty i fakty* – odbyła się 2 września, lecz to, co wczoraj jeszcze wydawało się śmieszne, wówczas wiało już grozą. A potem była już pośpieszna ucieczka autem, wraz z Wierzyńskimi i Norblina-

mi, do Rumunii, ochotnicza służba w Brygadzie Karpackiej, później zaś, od 1942 roku, już Anglia. Do końca życia.

Początek wojennej tułaczki Hemara, oznacza też drugi zwrot w losach Hemara – pisarza. To właśnie podczas wojny ustaliły się w sposób ostateczny główne tematy i kierunki, w jakich podążać będzie konsekwentnie w swej twórczości. Odtąd bowiem, nie przestając tworzyć świetnych tekstów kabaretowych, stanie się również jednym z najznakomitszych twórców poezji patriotycznej: zagrzewających do walki i podnoszących na duchu wierszy-apeli i liryki nostalgicznej i, później – po Jałcie – także aktualnej satyry politycznej. Oderwany od Polski, przybliżał się do niej duchowo coraz bardziej. Wówczas też wiersze jego – tak jak ongiś marzył – nabrały charakteru poezji najczystszej, najwyższej próby, choć z wyboru nie były „nowatorskie” (co mu wielokrotnie zarzucano): *niestety, mając do wyboru pokorę wobec poetyckich ideałów lub wykonywanie obowiązków wojennych w tej wojnie, która dla Polski się jeszcze nie skończyła – autor wybrał to drugie*. Wiersze te (okres doświadczeń rumuńskich i bliskowschodnich zamknął w pierwszym



Marian Hemar czyta swój wiersz, Londyn



W studio londyńskim Marian Hemar i Włada Majewska ćwiczą nową piosenkę „Chlib kulikowski”

wojennym tomiku pt. *Dwie Ziemie Święte*) były i wyrazem świadomości zbiorowej, i wyznaniem zbiorowej wiary, ideowym składem zasad.

Najważniejszym utworem z tego okresu jest *Modlitwa*, pełna aluzji literackich i historycznych, rozpoczynająca się od znamiennych słów: *Nie sprowadzaj nas cudem na Ojczyzny tony...* Jej główną oś myślową i konstrukcyjną stanowi przywołany na początku, a powracający jak refren „cud” – liczenie na cud (że zawsze nad Wisłą cud czekać będzie), na łaski bezbrzeżne (...) jakby nam należne, to wreszcie, że za bardzośmy Ojczyznę kochali świętami – to powszechne i powszednie winy Polaków, którzy żyć dniem codziennym z jego szarzyzną i znojną pracą, ani go doceniać jeszcze się nie nauczyli:

*I co dzień szliśmy wpobok Niej – tak jak
przechodzień
Mija drzewo, a Boga w drzewie nie
pamięta.
A Ojczyzna codziennie przecież była
święta,
A Ona właśnie była tym cudem na co
dzień.*

Utwór ten, utrzymany w formie modlitwy zbiorowej o „nową postawę”, o umiejętność głębszego spojrzenia na nasze wobec Polski obowiązki, doceniania i umiłowania w niej tego, co stanowi „chleb nasz powszedni”, i o to wreszcie, *By wnuk, zrodzony w wolności, wiedział, co to znaczy/ Być wolnym, być u siebie – być Polakiem w Polsce.*

Wojenne wiersze Hemara przypominały o wartościach dla Polaków najcenniejszych, których strażnikiem pozostał do końca życia, mówiły o polskich cnotach, o honorze i o wierze (zwłaszcza w wierszach z okresu pobytu w Ziemi Świętej), która jest jednym z fundamentalnych składników naszej tożsamości narodowej i posłannictwa. Najwyraźniej ukazywała to *Warta*, opisująca wartość żołnierzy polskich przy grobie Jezusa:

*I będzie stać ta warta
Nierozzerwalnym przymierzem
Jak krzyżem krzyż, jak Polska
Polską, jak żołnierz żołnierzem.
I będzie stać po wieczność –
Krzyż ostanając i Ziemię.*

Równocześnie, daleki od megalomanii, nadal piętnował nasze narodowe wady i błędy (19 marca 1940), jednak samą Polskę *widział i opisywał* jako idealną – Ziemię Świętą:

*Tutaj – ten kamień może
Jego stopy pamięta!
Ach, święta tutaj ziemia!
Tamta jest także święta.
Tu Betlejem błyszcząca,
Tam jakaś zgubiona wioska –
A po niej też rankami
chodziła Matka Boska.*

(Dwie Ziemie Święte)

W wierszach późniejszych, pojałtańskich, nabrzmiałych tematyką polityczną, wskazywać będzie Hemar także inną rolę, jaka przypadła Polsce: mówiąc o zdegradowaniu Polaków z pozycji „*Winkelrieda narodów*” do roli *popychadła narodów i niewygodnego sojusznika dziewiątej kategorii* (M. Hemar, *Kamień filozoficzny*), i o alianckiej zdradzie, podkreślał nasz podstawowy obowiązek – trwania w roli budziela sumień (*Liberum veto*).

W Brygadzie służył jako starszy strzelec w Wydziale Oświatowym SBSK – przygotowywał programy radiowe i rewie dla walczących w Tobruku, prowadził także „Czołówkę Teatralną”. Piosenki Hemara, takie jak np. *Pamiętaj o tym wnuku...*, czy *Magdus, moja Magdus* znali wszyscy żołnierze, a jedna z nich, *Karpacka Brygada* z maja 1941, stała się hymnem obrońców Tobruku.

Swoje żołnierskie doświadczenia zawarł m.in. w zabawnej, autoironicznej *Defiladzie*, ukazującej typową dla Karpackiej Brygady postać żołnierza ochotnika, który daleko za sobą pozostawił wiek poborowy...:

*Serce pod gardłem – i piekło
Strachu, że zgubię nogę. (...)
Myślałem – bo myśl się czasem
Wypśnie jak z palców pestka –
Ach, szkoda, że w tym miesiącu
Stuknęła mi już czterdziestka... (...)
Mój krok jakże byłby sprężysty
A trud i mniejszy i słodszy,
Karabin – o ileż lżejszy –
Gdybym jednak był młodszy...*

*Gdybym miał lat dwadzieścia,
Jak większość moich kolegów,
I głowę mniej siwą i linią
Brzucha nie psuł szeregów –
Marsz ten – o mój dowódco –
Nie wyczyn, ale przechadzka...*

Inne oblicza żołnierskiego życia ukazywały kolejne „żołnierskie” twory – *Strzelec i generał, Barbara* (o *patronce artyleryjskiej wiary*) i wreszcie wiersz ostatni – „*Virtuti militari*” (*Na śmierć podchor. Zbigniewa Pieniązka*) poświęcony pamięci chłopca nieledwie, podchorążego Zbigniewa Pieniązka, pierwszego żołnierza Brygady, który zginął podczas wypadu. Trudno oprzeć się wrażeniu, że są w nim nawiązania do lwowskiej ballady o innym bohaterskim chłopcu, lwowskim „orlątku”, Jurku Bitschanie:

*Nie zmarło mi się, – rzekł żołnierz
Stojący przed nieba bramą
Poległem na polu bitwy,
To przecież nie jest to samo.
Nie zawołałem „mamo”! –
Nie czułem strachu ni męki –
Nic nie bolało – tylko
Karabin wypadł mi z ręki.*

Opuściwszy Brygadę zamieszkał Hemar w Londynie, żołnierzem polskim pozostał jednak do końca życia, nigdy nie złożył broni. W powojennej twórczości wszystkim swym miłościom – do Polski, do Lwowa i do polskiej literatury – pozostał wierny:

*Moją ojczyzną jest polska mowa,
Słowo wierszem wiązane.
Gdy umrę, wszystko mi jedno gdzie,
Gdy umrę, w niej pochowajcie mnie
I w niej pozostanę.*

(Moja ojczyzna)

Romantyk w czasach z romantyzmu do cna odartych.

JUSTYNA NOWAK, z domu Chłap, ur. w Krakowie. Polonistka, absolwentka UJ. Zajmuje się poezją emigracyjną, pisze rozprawę doktorską na temat poezji II Korpusu. Publikuje w „W drodze”, „Arce”, „Arcanach”.

Z profesorem Stanisławem Sławomirem Nicieją

Rektorem Uniwersytetu
Opolskiego

rozmawia
Janusz M. Paluch



Napisanymi przez siebie książkami jest Pan Rektor kojarzony ze Lwowem. Jednak obowiązki wynikające z tytułu kierowania Uniwersytetem Opolskim wiążą Pana z Opolem. Czy nie tęskni Pan do Kresów, do Lwowa, gdzie ludzie pamiętają i na każdym kroku jakże miło Pana wspominają?

Temat lwowski do tej pory jest dominującym wątkiem mojej twórczości. Teraz na pewien czas zaniechałem go, ale jest to na zasadzie płodozmianu... Dobrze jest, aby na polu, na którym siało się pszenicę, przez pewien czas wzrastało okopowe. To uwróżliwia i poprawia wydajność. Stałem się niewolnikiem pracy menedżerskiej. Dzisiaj zmieniła się rola rektora na uczelni wyższej. Kiedyś rektor spełniał rolę celebrycisty: inauguracja roku akademickiego, prowadzenie

nie obrad senatu, kolegium rektorskiego, polityka kadrowa, reprezentacja uczelni etc. Dzisiaj jednocześnie musi być szefem przedsiębiorstwa. To od niego w dużym stopniu zależy rozwój lub regres uczelni. On podejmuje decyzje, które mogą spowodować np. zadłużenie i doprowadzić uczelnię nawet do bankructwa. Przy wolnym rynku nie ma już tego, że jakiś uniwersytet ma przypisaną na zawsze określoną renomę. Nawet znamienita uczelnia, gdyby znalazła się w rękach człowieka niefrasobliwego, wtedy nie pomoże tradycja, wielki sztyl, znamienite nazwiska, będzie obniżać swe loty.

Ten okres, w którym zająłem się pracą organizacyjną, pracą budowania Uniwersytetu Opolskiego, głównie jego infrastruktury materialnej, wiele mnie nauczył. Oczywiście moja praca obecnie to nie tylko administrowanie i organizowanie, ale również historyczne penetracje. Przebudowując dawny klasztor dominikański z 1294 r., jedną z najstarszych budowli w Opolu, na przyszły rektorat, poznaję jego fascynującą historię. Przy tej okazji powstaje książka, która pokaże historię tzw. opolskiego Akropolu. To niezwykle miejsce. Jego centrum zajmował właśnie klasztor, w którym po sekularyzacji w 1810 roku znajdował się najlepszy na Śląsku szpital. Obok jest piękny kościół, budynek dawnego gimnazjum, w którym uczył się Jan Kasprówic, klasztor SS Notre Dame, muzeum – kiedyś szkoła jezuicka. Jak głosi legenda na tym wzgórzu w 984 r. głosił kazania św. Wojciech. Przy kościele istnieje kaplica jemu poświęcona, a szpital nosił jego imię – Sankt Adalbert Hospital.

Ta przygoda z Uniwersytetem Opolskim potrwa jeszcze dwa lata. I wtedy wrócę do tematów związanych ze Lwowem. Tym bardziej, że od ośmiu lat odbudowuję w pobliżu Brzegu stary dworek, w którym osiadę. Pisanie książek wymaga bowiem ciszy, spokoju, kontemplacji. Nie tego nerwowego rytmu, w którym obecnie tkwię. Tęsknię za takim spokojem, ciszą... Na pewno napiszę książkę „Lwów w kulturze europejskiej”. Chciałbym pokazać Lwów na przestrzeni dziejów. Podobnie jak zrobił Norman Davies w swej książce „Europa”, ukazując na przykładzie Lwowa zmiany administracji w Europie Środkowej. Miasto bowiem trwało, a zmieniały się tylko administracje. Nazywało się Lwów, Lemberg, Lwow, Lviv...

Chciałbym pokazać, jak walczone o to miasto. Spór o Lwów trwa przecież wieki. I pewnie jest nie do rozstrzygnięcia. Spór Polaków i Ukraińców o Lwów jest sporem matki z ojcem, czyje jest dziecko. Mogą sobie wydierać prawa do dziecka, ale obie relacje zaważyły nad jego kształtem. Oczywiście i sąsiedzi mieli swój udział w kształtowaniu miasta. Nie można zapominać o Żydach, Ormianach i Niemcach, którzy odegrali tam piękną rolę. W przyszłości chciałbym też szerzej zająć się historią Żydów lwowskich. To jest pasjonujący temat, do którego źródła dość skutecznie zostały unicestwione przez II wojnę światową. Może nawet bardziej okrutnie, niż działo się to w Warszawie. Ich lwowskiej historii do dzisiaj nikt jeszcze nie opisał. A przecież tyle indywidualności ta nacja miała we Lwowie...

Między innymi Mariana Hemara.

Tak. Ale przecież wielcy antykwariusze lwowscy, choćby Iglowie z ulicy Batorego, znakomici przemysłowcy, jak Rickerowie. Przecież to jest interesujące ze względu na współczesność Polski! Pracując nad historią Cmentarza Łyczakowskiego, robiłem też wypisy nekrologów żydowskich rodów: Sprecherów, Sommerfeldów, Reisów i in. Kto dzisiaj wie, że znakomita aktorka Ryszarda Hanin była jedyną córką wybitnego kupca lwowskiego Ignacego Hana?! A biografia Mariana Hemara to jedna z najbliższych książek, jaka mi się marzy. Będzie to

rzecz o Hemarze, wielkim bardzie Lwowa, człowieku, który kochał to miasto i niezwykle pięknie o nim pisał. Te wiersze do dzisiaj są wznawiane i przez lata zachowują świeżość, nadal wzruszają. Są ponadczasowe, w przeciwieństwie do jego twórczości kabaretowej, antykomunistycznej, która zwietrzała. Pokolenia wkraczające w dorosłość po 1989 roku nie patrzą już na poruszone w nich problemy z taką ostrością. Zresztą kto dzisiaj pamięta o jakimś Woroszyłowie, Malenkowie czy Gromyce? Teraz, przy publikacji tych wierszy trzeba by je obudować dużą ilością przypisów. Mogłoby się okazać, iż jest ich więcej niż samego tekstu poetyckiego!

Chciałbym przypomnieć najpiękniejsze wiersze Hemara, to co zrobił w kabarecie lirycznym, to co zrobił dla polskiej piosenki będąc jeszcze w kraju. Przebywając w Londynie i przyjaźniąc się z panią Władą Majewską, strażnikiem Hemarowskiego dorobku twórczego, zgromadziłem dość obszerny materiał – również ikonograficzny do książki o Hemarze. Nie będzie to duża książka, ale w przypadku tej postaci na pewno ciekawa.

Książkę, którą przed kilkoma laty wydała krakowska Krajowa Agencja Wydawnicza z Pana wstępem, można zatem traktować jako preludeum do poważniejszego przedsięwzięcia poświęconego Hemarowi. Szkoda, że nie udało się Panu



Stanisław Nicija (z prawej) i Zbigniew Chrzanowski
(Teatr Lwowski)

wydać jej w roku 100. rocznicy urodzin Mariana Hemara.

W pewnym sensie tak. Moment ukazania się tamtej książki zbiegł się z rozpoczęciem przeze mnie budowy uniwersytetu w Opolu. I proszę mi wierzyć, na niewiele mam czas. A jubileusz Hemara... O nim trzeba pamiętać zawsze, niezależnie od jubileuszu. Zresztą, nie przykładam większej wagi do magii cyfr.

Będąc w Londynie, fascynując się twórczością Hemara, musiał Pan Rektor odwiedzić też miejsca z nim związane.

Tak. Włada Majewska pokazała mi wszystkie te miejsca. Byłem w Ognisku Polskim i słynnej restauracji Dakisa na Kensingtonie oraz w Dorming, gdzie mieszkał i jest pochowany na miejscowym cmentarzu. Odwiedziłem dom, w którym mieszkał i tworzył. To fascynująca i dramatyczna postać! Hemar urodził się we Lwowie. Tam nasiąkał atmosferą śpiewającego miasta do 20 roku życia. Potem przeniósł się do Warszawy. Związał się ze skamandrytami, pisał dla „Qui pro quo”, „Czarnego Kota”. Powszecznie znany, lubiany i szanowany twórca. Pisał z „fajerem”, „biglem”. Jego wielką miłością była Modzelewska. Bardzo przeżywał, gdy go porzuciła. Wybuch wojny zabiera mu wszystko. Zabiera mu dom, publiczność. Musi uciekać. Kończy się gehenna człowieka ściganego, zaczyna tragedia nostalgii do ukochanego kraju. Trzeba zdać sobie sprawę, że na czas wojny przypadł jego największy rozkwit twórczy. Hemar uciekał z Warszawy. Niemcy mieli go na swojej „czarnej liście”. Przecież to on napisał słynną piosenkę „Wąsik, ach ten wąsik”, która była szyderstwem z Hitlera. Śpiewał ją Ludwik Sempoliński. Ambasada niemiecka protestowała. Domagali się wyłączenia tej piosenki z repertuaru kabaretu. Jak oni to przeżywali, jak ich to bolało!

Hemar, uciekając przed Niemcami, nie mógł zabrać swojej ukochanej matki, a jadąc na Zaleszczyki miał w samochodzie wolne miejsce. Matka ginie w getcie. Znałe są jego listy pełne rozpacz. Jego matka nazywała się z domu Lem. Hemar korespondował z Samuelem Lemem, ojcem Stanisława Lema. Samuel opisuje mu historię aresztowania matki przez Niemców. O tych listach rozmawiałem ze Stanisławem Le-

mem. Był zaskoczony, że mam listy jego ojca do Mariana Hemara. Później była wiara Hemara w wybuch III wojny światowej i nadzieja, że wrócą do Polski, do Lwowa. Hemar przeraźliwie przeżywa powroty różnych bliskich mu osób do Polski. Nie potrafił wybaczyć powrotu Szczepkowi. Tońko do końca został na emigracji. Wstrząsający jest tekst o przyjacielu – Julianie Tuwimie, pełen goryczy i nienawiści. Podobnie traktuje Jana Brzechwę, Kiepurę... Jest wiele niesamowitych wątków, które nakreślił w książce o nim.

Brak zainteresowania szeroko pojętą kulturą w naszym kraju przenosi się zapewne i na naszą współczesną – ekonomiczną emigrację. Zastanawiam się, czy jego nazwisko tym, którzy do Londynu przybyli w ostatnich czasach, coś jeszcze mówi?

Rzeczywiście emigracja tzw. solidarnościowa nie interesuje się kulturą. Nie jest nastawiona na obronę polskości. Wojenna emigracja żyła w swoistym getcie, skupiając się wokół Instytutu Polskiego. To oni tworzyli ten specyficzny klimat polskości nad Tamizą. Teraz śmiało można mówić o końcu polskiej emigracji, o końcu Polonii. Może do jakiegoś czasu zostaną POSK i Instytut Sikorskiego. Natomiast Hemara warto i trzeba w Polsce pokazać jako twórcę niepowtarzalnego kabaretu, jako liryka czy nawet publicystę, który bardzo trzeźwo spoglądał na otaczającą go rzeczywistość. Swego wydawcę powinien znaleźć choćby zbiór jego tekstów „Awantura w rodzinie” – tak jak niedawno najblyskotliwsi pisarze polskiej emigracji Zbyszewski czy Mackiewicz.

Hemar był człowiekiem przede wszystkim literatury. Czyby Pan zwracał się w swej pracy pisarskiej ku historii literatury?

Literatura zawsze mnie pociągała. Chciałem nawet studiować filologię polską. Gdyby tam nie było tak dużo językoznawstwa, ortografii i całej tej kuchni języka, a tylko historia literatury, pewnie ukończyłbym filologię polską, a nie historię. Dlatego też w swej pracy historyka i pisarza postawiłem na biografistykę. Dziedzinę, która jakby zawisała między nauką a sztuką. Żeby pisać o człowieku, trzeba postugiwać się elementami psychologii, wchodzić w mentalność

bohatera, o którym się pisze. Tworzy się przecież drabinę faktów, ale oplecioną uczuciami, wrażeniami. Mnie to fascynuje! Jestem przekonany, że jak zamknę się w swoich Pępicach, gdzie będzie porządny kominek, malowniczy ogród, zasobna biblioteka i grono wiernych przyjaciół, to zabiorę się za pisanie powieści-rzeki, która dzieć się będzie na przestrzeni 50 lat i pokaże kawał historii naszego kraju. Będzie to, mam nadzieję, coś nowatorskiego i mam na to pomysły. Jaki? Przedwcześnie o tym mówić.

Podczas, gdy Pan Rektor przebywał na dłuższym stypendium w Londynie, lwowianie bili na alarm, że nastąpiła zdrada Lwowa. Przecież tak się nie stało? Nad jakimi materiałami oprócz biografii Mariana Hemara pracował Pan nad Tamizą?

Już powiedziałem i raz jeszcze dobitnie podkreślam, że nigdy Lwowa nie opuściłem. Sprawcą moich zagranicznych wyjazdów był właśnie Lwów. Nie wiem, co byłoby, gdybym nie trafił na Cmentarz Łyczakowski i nie napisał poświęconej temu miejscu książki. Dzięki niej odbyłem setki spotkań w kraju. Zapraszany byłem do różnych miejsc w Europie przez żyjących tam lwowiaków. Wszędzie witano mnie serdecznie. Tak samo stało się w przypadku Londynu, gdzie na wieczór autorski zaprosiło mnie Koło Lwowian. To było niezwykle spotkanie! Na sali zasiadły takie postacie jak Edward Raczyński, prezydent Ryszard Kaczorowski, generałowa Andersowa, Wła-

da Majewska, Emil Niedźwirski – lekarz gen. Andersa, cały establishment lwowskiej emigracji! W mojej książce znaleźli właśnie kawałek swego ukochanego miasta. Ci, którzy mnie zapraszali, należeli do grona tych, którym na emigracji się powiodło. Zawsze jednak tęsknili do Lwowa. Ci ludzie, Kresowiaci, stanowiący najbardziej nieprzejednaną grupę emigracji, nie mieli po wojnie szans wrócić do swych rodzinnych stron. Inaczej było w przypadku Polaków pochodzących z innych regionów kraju. Oni najczęściej załamywali się i wracali do kraju. Głośny był powrót choćby Jana Rostworowskiego, którego wyrzucono ze Związku Literatów na Obczyźnie tylko dlatego, że pojechał do Krakowa na pogrzeb bliskiego członka rodziny.

Po tym moim pierwszym spotkaniu w Kole Kresowian dyrektor Fundacji Lanckorońskich hr. Jan Badeni, wnuk Kazimierza Badeniego – premiera Austrii i Polaka przez duże „P”, powiedział do mnie: „Proszę pana, to, co pan zrobił dla Lwowa, tak mnie poruszyło, że chcę dać panu stypendium Lanckorońskich. Zapraszam pana na sześć miesięcy, proszę tylko określić, czym zajmowałby się pan w Londynie.” Oczywiście zaproponowałem temat poświęcony Polakom pochowanym na londyńskich cmentarzach. Znalazło tam miejsce wiecznego spoczynku wielu wybitnych Kresowaków. Twórca Wesolej Lwowskiej Fali Witold Budzyński, Zofia Terne, artyści, publicyści, pisarze, malarze... Żeby nie był kojarzony



Włada Majewska i Stanisław Niciejka



Od lewej: prof. Artur Leinwand, red. Magdalena Bajer, prof. Stanisław S. Nicieja, Wojciech Dzeduszycki z żoną

tylko z cmentarzami, postanowiłem zająć się też Emigracją Londyńską, ale nie od strony politycznej. Wiedziałem bowiem, że choćby o generale Andersie przez całe lata historycy napiszą wiele książek. Mnie pociągał świat artystyczny Hemara, Zofii Terne, kabaretu, teatru lwowskiego, ludzi, którzy tworzyli na obczyźnie uniwersytet, polskie szkoły niedzielne, polskie organizacje kulturalne. Ten świat mnie wciągnął. Byłem w Anglii wielokrotnie, by szukać nowych materiałów, poszerzać wiedzę na temat tego, co już posiadałem w swym archiwum. Tak więc z mojej strony to nie jest zdrada Lwowa, a przeniesienie wątków kresowych na emigrację.

Na czym polega siła Lwowa, miasta, z którym Pan Rektor nie ma przecież związków rodzinnych?

Miałem to szczęście, że moja książka pierwsza przerwała milczenie o Lwowie i Kresach. Od tamtego czasu wydano ok. 400 poważnych dzieł. Popłynęła zatem olbrzymia fala książek o Lwowie. O Wilnie tyle nie pisano. Można to tłumaczyć tylko tym, że Lwów miał i ma swych piewców. Niemiecki Wrocław był przecież znacznie większym miastem, równie pięknym architektonicznie, podobnie niemiecki Królewiec, ale miasta te nie stworzyły takiej legendy wygnania, jakiej doczekał się Lwów. Tylu ludzi tak przeżywało to rozstanie, tylu pisało o tym mieście... Jerzy Janicki, Tadeusz Śliwiak,

Witold Szolginia, Adam Holanek, Jerzy Michotek, Adam Zagajewski, prof. Alfred Jahn itd. Powstawały wiersze, opowiesci. Tej największej legendy wygnania nie da się już zniszczyć. Została zapisana w książkach, zainfekowano nią pokolenie wnuków, które interesuje się tym miastem, dostrzeżga w nim swoje korzenie. Stąd też bierze się sukces mojej książki „Cmentarz Łyczakowski”. Jej nakład do chwili obecnej osiągnął ponad 250 tys. egzemplarzy. Ta książka przez ludzi stamtąd często jest traktowana jako swoista metryka. Ona mówi im o dziadach czy pradziadach. Nieważne, że dzisiaj mieszkają we Wrocławiu, Legnicy, Opolu, Jeleniej Górze czy Kłodzku... Proszę zauważyć – Warszawa stworzyła martyrologiczną legendę swego miasta. Ciągłe powstania, śmierć... Natomiast dzieje Lwowa, mimo wielu dramatów, jakie to miasto przeżywało, są radosne. Tam mieliśmy bowiem do czynienia z ludźmi o dużych zdolnościach przewidywania skutków swego działania, polityków mądrych kompromisów. Ten mądry kompromis, który był niemożliwy w Warszawie, doprowadził do tego, że Polacy w kraju podbitym stali się siłą, która państwem zaborcy faktycznie kierowała. Kazimierz Badeni był premierem Austro-Węgier, Dunajewski – rodem ze Stanisławowa, krakowianin – ministrem skarbu, tworzącym przez 12 lat twardą walutę Austro-Węgier, Leon Biliński – szefem policji,

ministrem spraw wewnętrznych. To zadziwiające! Oczywiście i w Galicji nie brakowało zrywów powstańczych, które przetrącono, nie brakowało też skazanych na karę śmierci – choćby Franciszek Smolka. Ale gdyby Lwów co 20 lat zrywał się do powstania i za każdym razem był niszczone, byłby też całkiem innym miastem. Pewnie tak jak Warszawa byłby miastem smutku, pomników martyrologii i przegranych powstań, szubienic na Cytadeli. Choć i szubieniczego wątku w dziejach Lwowa nie brakuje – choćby przypadek Wiśniowskiego i Kapuścińskiego straconych na Wzgórzu Hycła. Dominują jednak we Lwowie piękno, wspaniałości architektonicznych budowli bibliotek Ossolińskich, Baworowskich, Dzieduszyckich... Oplata go aura finezyjnego humoru i delikatności. I Lwów w naszej polskiej historii, która jest nokturnowa, ciężka, spowita kirem żaloby, jest prawdziwie potrzebnym elementem lekkości, barwności, śmiechu, gdzie żyli ludzie szczęśliwi, odnoszący sukcesy. Właśnie ten wątek będzie się powtarzał w moich książkach i pracach tych, których zainteresowałem swoją pracą naukową i pisarską.

Wnoszę, że podczas swych londyńskich stypendiów umocnił Pan swe uczucia do Lwowa i Kresów. Kogo można było poznać nad Tamizą, kiedy była chwila wolnego czasu?

Czasu było naprawdę niewiele. A znamienitych postaci polskiej emigracji, którym należałoby poświęcić nie tylko towarzyską pogawędkę – mnóstwo. Poznałem Karola Zbyszewskiego, Edwarda Raczyńskiego, prezydenta Kazimierza Sabbata. Jego żona, siostra Bolesława Sulika, posiada bardzo ciekawe materiały dotyczące gen. Nikodema Sulika – dowódcy V Dywizji Kresowej. Zbliżyłem się do kręgu emigracji wojskowej. W końcu spotkałem i poznałem twórcę słynnej akcji wysyłkowej „Tazaba” – Tadeusza Zabłockiego, o którym napisałem książkę. To on wymyślił w czasach „żelaznej kurtyny” paczkę standardową o wadze 5 kg, w której znajdowały się mydło, kawałek czekolady, damskie pończochy etc. To on umundurował całą Polskę w ortaliony, olbrzymią rolę odegrał w wysyłaniu streptomycyny, specyfiku, dzięki któremu opanowano w ówczesnej Polsce groźną gruźlicę.

Poznałem też świat polskich przedsiębiorców – „selfmademanów”. Ludzi, którzy na emigracji zrobili ogromne kariery finansowe, ale nie tylko po to, by te pieniądze skonsumować. To oni utrzymywali polskie biblioteki, POSK, płacili pieniądze na działalność kabaretu, teatru. Do nich zaliczał się Feliks Laski, mecenas polskiego teatru emigracyjnego. Napisałem o nim esej, w którym pokazuję, jak to się stało, że człowiek, jeden z najbogatszych Polaków na emigracji mówił: „Kocham aktorów, kocham teatr, sam żałuję, że nie mam talentu literackiego, napisałem sześć sztuk, ale nie pokażę panu ani jednej, bo mam zastrzeżenia do ich poziomu, ale póki mam pieniądze, będę je na teatr dawał”. To przecież piękny wzorzec sponsoringu!

Powojenna emigracja zaczęła też odzwiercać zbiory Muzeum w Rapperswille, które nieszczęśliwym trafem zbyt wcześnie przeniesiono do Warszawy, gdzie zostały spopielone podczas wojennej pożogi. To są fascynujące postaci polskich biznesmenów, którzy, gdy kończyła się wojna, nie znali języka angielskiego, nie mieli grosza przy duszy i w kilka lat dorobili się prawdziwych pieniędzy, którymi potrafili się dzielić. Patrzyłem na tych ludzi z podziwem i daję ich za przykład dla młodego polskiego kapitalisty. Nie sposób pominąć w tym miejscu ludzi związanych z Fundacją Lanckorońskich! Iluż ludzi, dzisiejszych profesorów, doktorów – ludzi polskiej nauki i kultury mogło prowadzić w całej Europie badania naukowe. Przecież prof. Karolina Lanckorońska mogła inaczej ulokować swe pieniądze.

Swymi książkami już wiele Pan Rektor zdziałał dla przywrócenia obrazu przede wszystkim Lwowa, ale i Kresów. Ale przecież to nie wszystko. Co ponadto Pan robi, by przywracać pamięć o sprawach kresowych?

Przed wszystkim seminarium ze studentami. Doczekałem się już swoich uczniów, którzy są profesorami. Jedną z głównych książek w dorobku naukowym prof. Leszka Kuberskiego – dzisiaj prorektora Uniwersytetu Opolskiego – poświęcona jest Stanisławowi Szczepanowskiemu, twórcy zagłębia naftowego w Boryslawiu. Inny mój uczeń, prof. Roman Nowacki, napisał świetną książkę o Oswaldzie Balcerze jako wybitnym

prawniku, który w głośnym procesie wygrał dla Polski Morskie Oko. Mam około setki prac magisterskich o różnych wątkach, poświęconych świątyniom kresowym, zamkom, cmentarzom – choćby o zaorany, nieistniejącym cmentarzu w Stanisławowie, o cmentarzach w Chodorowie, Stryju, Samborze, o historii Czortkowa, Buczacza, Kołomyi czy Tamopola. Moje seminaria idą w kierunku przypominania ludzi nauki, budowniczych, przemysłowców, biografie znamienitych rodów: Dzieduszyckich, Krzeczunowiczów i in. I studenci chcą o tym pisać. Mniej ich interesuje problematyka przegranych powstań. To jest ze wszech miar pouczające dla współczesnych.

Niedawno ukazała się nakładem Śródmiejskiego Ośrodka Kultury i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich niewielka książeczka „Zadwórze – Polskie Termopile. Pierwszy raz z tą nazwą i wiadomością o dramacie polskich żołnierzy dowiedziałem się z Pańskiej książki „Cmentarz Łyczakowski”. Mówiąc szczerze, przez całe lata nie mogłem pojąć, jak to się stało, iż jako osoba interesująca się historią, mogłem o tym wydarzeniu nie wiedzieć. Kiedy i w jakich okolicznościach Pan Rektor dowiedział o Zadwórze?

To było już po studiach, kiedy podjąłem naukowe badania na Cmentarzu Łyczakowskim. Oczywiście ani w szkole średniej, ani na studiach ta nazwa nie pojawiła się w podręcznikach. Wojna polsko-bolszewicka przewijala się w programie studiów, ale głównie jako wątek marszu Tuchaczewskiego na Warszawę. O Zadwórze nie miałem pojęcia! A nie byłem, proszę mi wierzyć, najgorszym studentem.

Aż wierzyć się nie chce, że w ciągu kilkudziesięciu lat tak skutecznie wyczyszczono biblioteki, ale i ludzka pamięć!

Dopiero, gdy trafiłem na Cmentarz Orłąt Lwowskich, zacząłem sięgać do starych przedwojennych książek, napotkałem opis Zadwórze. Poszukiwałem materiałów o osobach, które tam zginęły: o Zajączkowskim, Demetrze, Hanaku. Przy okazji ich nekrologów traślałem na opis bitwy, broszurki, które wówczas wydawano. Później tam pojechałem ze Stanisławem Auguścikiem z Telewizji Polskiej. Ku naszemu zdumieniu

stwierdziliśmy, że pomnik, wprawdzie poobijany, ale z datą 17.09.1920 stoi. Nie zniszczyli go, ale pewnie im też ta data nie mówiła. W przeciwnym razie nie zastalibyśmy ani pomnika, ani kurhanu. W książce, o której pan mówi, bitwa pod Zadwórzem ukazana jest od strony atmosfery, legendy, jaka wokół niej narastała. A legenda była magnetyzująca. Przed wojną powstał prawdziwy kult Zadwórze. Jest zatem wokół tego wydarzenia sporo tematów dla badaczy. Przecięta została nagle przez wybuch II wojny światowej, a później wyciszona cenzuralnie. To też jest niesłychane zjawisko – warte analizy naukowej.

Ci, którzy pamiętali o tym dramacie, woleli o nim nie powtarzać. Często zapominamy już, w jakich żyliśmy czasach. Ile może być jeszcze takich miejsc jak Zadwórze na Kresach?

Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Gdybym nie badał Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orłąt Lwowskich, pewnie Zadwórzem bym się nie zajął. Moja praca idzie w kierunku kultury Lwowa i Kresów, szeroko pojmowanej biografistyki. Nie zaliczam się do tych, którzy w nokturnowych formach wynoszą nasze dramaty narodowe. Ja ujawniam się jako zwolennik krakowskich „stańczyków”, którzy winę za to, co się w Polsce stało, szukają wewnątrz naszego narodu, w sobie, a nie w tym, że mamy agresywnych sąsiadów, że mamy pechowe położenie geopolityczne w Europie, bo jego przecież nigdy nie zmienimy. Mnie bliscy są politycy tej miary co Bobrzyński, Szujski, Tarnowski. To byli ludzie, którzy uważali, że trzeba umieć się bronić, zabezpieczyć, a jeżeli tego nie potrafimy, to znaczy, że w naszej organizacji, naszym państwie jest coś niespójnego. Mnie imponuje kultura Lwowa, Galicja, mądry kompromis i to, że portret cesarza państwa zaborczego Franciszka Józefa jest dzisiaj na butelce z bardzo popularną wodą mineralną. Proszę sobie wyobrazić, że na podobnej butelce jest podobizna cara Mikołaja II czy Aleksandra I albo Bismarcka! Przecież to też przywódcy państw zaborczych! A przecież nie kto inny jak Franciszek Józef rozkazał w bezwzględny sposób zbombardować Lwów. I do tej pory uważany jest za dobrego władcę. Nikt nie podejrzewa Polaków, którzy

się z nim związali, o kolaborację. A jak zostali potraktowani Wielopolski czy Drucki-Lubecki, gdy szli na ugodę z carem Rosji? Nikt nie atakuje posłów do sejmu austriackiego, a byli wśród nich Szczepanowski – twórca polskiej nafty, Daszyński – jeden z twórców polskiego socjalizmu – i Witos... To jest fenomen mądrych kompromisów! U nas słowo kompromis jest słowem podejrzanym. Blisko tego słowa pojawia się pojęcie kolaboranta. A przecież Polsce i dziś potrzebny jest mądry kompromis, czyli umiejętność wychodzenia z trudnych sytuacji.

„Stańczycy” nie byli i nie są nawet dzisiaj dobrze postrzeganym ugrupowaniem politycznym.

No nie są. Ale skutki tego były takie, że pod zaborem austriackim mieliśmy uniwersytety, na których wykłady prowadzono po polsku, rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego był Polak, rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza był Polak, prezydentami Krakowa i Lwowa byli Polacy, burmistrzami miasteczek byli Polacy. Były polskie szkoły. Może sobie kpić Zegadłowicz z liceów Galicji, ale to były kuźnie polskiej inteligencji! Przecież to był fenomen na tamtą skalę! W końcu Galicja dawała schronienie róż-

nym uciekinierom politycznym z zaborów pruskiego i rosyjskiego. Żeby nie sięgać daleko w przeszłość, Józef Piłsudski w końcu też był i działał we Lwowie.

Była to jednak zgoda na pewną formę niewoli, postawa tak dobrze ukazana przez Stanisława Wyspiańskiego w „Weselu”: *choć na całym świecie wojna, byle nasza wieś spokojna...* Tej zgody nie było pod innymi zaborami, stąd wybuchające powstania narodowe...

Muszę stwierdzić, że młode pokolenia studentów inaczej patrzają na te problemy. Stawiają pytania, jak to się stało, że wzniesiono powstanie mając pełną świadomość nieuchronności klęski. Szkoła konserwatystów krakowskich nie jest martwa we współczesnym społeczeństwie polskim. Mogła być odrzucana w chwilach zagrożenia, ale nie w dzisiejszej Europie. Dzisiaj nie można kłótni wygrać. Jedyną mądrość, to nie dopuścić do niej. Z konfliktów zawsze wychodzi się okaleczonym. Nie uważam, żeby myślenie konserwatystów krakowskich zwierzało. Ja czerpię z niego wiele pomysłów.

Serdecznie dziękuję Panu Rektorowi za rozmowę.

Archiwum

B E N E M E R E N T I

W „Przekroju” była kiedyś rubryka „Aktualności z myszką”, gdzie przedrukowywano różne stare wiadomości. W 1991 r. przeczytaliśmy taką notatkę z 28 kwietnia 1921 r.:

W dniu nadania Wszechnicy Warszawskiej godeł uniwersyteckich zostaną wręczone przez Jego Magnificencję Rektora Jana Kochanowskiego dyplomy honorowych doktorów uniwersytetu osobistościom wielce zasłużonym dla naszego kraju. Znaleźli się wśród nich: Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, marszałek Francji Foch, były prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson oraz profesori innych uniwersytetów polskich w uznaniu ich zasług. Są to: znakomity poeta Jan Kasprowicz, wykładający na uniwersytecie lwowskim, badacz fauny i flory Syberii, wieloletni zesłaniec, profesor Benedykt Dybowski – również ze Lwowa, a także profesori – Emil Godlewski i Oswald Balzer. [...]

Zauważmy, że nie tylko Kasprowicz i Dybowski byli lwowskimi profesorami, lecz także Balzer. Zaś Emilów Godlewskich było dwóch, ojciec i syn. Starszy (1847–1930) był profesorem chemii rolnej i fizjologii roślin kolejno w Krakowie, Dublinach k. Lwowa (1874–78), znowu w Krakowie i w Puławach. Młodszy (1875–1944), urodzony w Hołsku k. Lwowa, był profesorem embriologii i biologii na UJ, ale zarazem miał wiele powiązań naukowych ze Lwowem. Obaj więc, choć związani bardziej z Krakowem, mieli jednak istotne lwowskie odniesienia.

Można zatem podsumować matematycznie: 4:1 dla Lwowa!

Michał Witwicki

SPOTKANIE
ZE SŁOWACKIM

Na wystawie „Koniec Wieku”, jaką otwarto na przełomie 96 i 97 roku w warszawskim Muzeum Narodowym, wystawiono między kilkuset dziełami malarstwa, rzeźby, grafiki także miniaturę pomnika (może projekt?) Juliusza Słowackiego – dłuta Wacława Szymanowskiego. Był on najbardziej romantycznym polskim rzeźbiarzem, autorem słynnego pomnika Chopina w Parku Łazienkowskim w Warszawie. Teraz mała figura stała skromnie, wraz z kilkoma innymi drobnymi rzeźbami, w kącie olbrzymiego hallu. Dojrzałem ją na chwilę przed zamiarem wyjścia, podszedłem bliżej i ze wzruszeniem obejrzałem figurkę siedzącego wieszczka, a potem przeczytałem dobrze mi niegdyś znany napis, wryty u dołu na małym cokole:

*Żeby choć jedna pierś była zrobiona
Nie na miarę krawca lecz Fidasza,
Żeby ta jedna pierś jak pierś Memnona,
Żeby ta jedna...*

Beniowski, Pieśń III

Tak: to ten sam, wielokrotnie oglądany w czasach mojej młodości. Uplętnęło 58 lat, odkąd straciłem ten pomnik z oczu, ale pamiętam go doskonale.

Przed wojną uczęszczałem do znakomitej szkoły średniej, do III Gimnazjum i Liceum im. króla Stefana Batorego we Lwowie, znajdującego się przy ul. Batorego. Klasa nasza mieściła się na I piętrze na końcu korytarza. Na zamykającej go ścianie tuż za naszymi drzwiami stała wielka, gipsowa kopia tego właśnie pomnika. Wieszcz, oparty o ścianę, siedział z głową lekko zwróconą w stronę okna, wpatrzony w gałęzie drzew na dziedzińcu szkolnym. Ręce były tak ułożone, że w bryle postaci na przodzie tworzyło się wgłębienie. Na wysokim cokole widniał cytowany wiersz.

Figura była spora, wznosiła się ponad nasze głowy, sięgające wysokości kolan poety. Wychodząc na tzw. dużą pauzę odwijali-

śmy nasze kanapki z papierów, a te, zwinięte w kule, składaliśmy Słowackiemu na podółku. Niedojedzone resztki trafiały tam na końcu przerwy. Zwykle już do końca dnia wieszcz siedział zadumany, piastując skrawki wędlin i zatłuszczone papiery. Tak go pamiętałem.

Stałem teraz przed tą małą rzeźbą i partryłem na nią z rozczeniem. Ileż wspomnień z młodości „chmurnej i durnej” wywołał ten mały eksponat ustawiony w kącie, niepozorny wobec wielkich płócien i rzeźb. Dla mnie najpiękniejszy z całej wystawy.

Ale to nie jedyne spotkanie z przeszłością. W którejś z sal stanąłem przed obrazem Pruszkowskiego pt. „Smok Wawelski”. Obraz nie najwyższego lotu, smok przypominał mi raczej aksolotle, które oglądałem nieraz w biologicznej pracowni w szkole, gdzie uczyła moja siostra. Dawała mi znać, kiedy miało być czyszczone akwarium, wtedy moim zadaniem było łowić je i przenosić do innego. Miłe zwierzątko, ale rzecz nie w ich urodzie.

Mam w domu książkę wydaną we Lwowie (słynna Książnica Atlas) w 1930 roku pt. „Elementarna nauka historii Polski dla szkół powszechnych”. Tam na 16. stronie znajduje się reprodukcja obrazu Pruszkowskiego. Autorami tej książki byli Julia Duszyńska, moja daleka ciotka, autorka książek dla dzieci, i Tadeusz Witwicki, mój ojciec, ówczesnie wizytator szkół powszechnych województwa lwowskiego, historyk z wykształcenia. Wybrany przez nich obraz widziałem w oryginale po raz pierwszy na tej właśnie wystawie.

styczeń 1997

MICHAŁ WITWICKI, ur. 1921 we Lwowie. Tamże ukończył III Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, matura w 1939. We wrześniu 1939 brał udział jako ochotnik w obronie Lwowa. W czasie okupacji podejmował różne zajęcia (laborant, dozorca nocny), pracował także jako modelarz przy tworzeniu panoramy plastycznej dawnego Lwowa u Janusza Witwickiego (swego kuzyna). W 1942 przeniósł się do Warszawy, pracował tam jako robotnik i kreślarz. Jako żołnierz AK brał udział w Powstaniu Warszawskim. Osadzony w obozach w Niemczech, po wyzwoleniu wstąpił do I Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Po powrocie do kraju ukończył studia architektoniczne na Politechnice Warszawskiej (1954). Pracował zawodowo jako projektant w Warszawie i Algierii, ostatnio przy rewaloryzacji zabytkowych założeń urbanistycznych i zabytkowej architektury. Obecnie współpracuje przy odnowie panoramy plastycznej dawnego Lwowa.

Tadeusz Łodziana

LWÓW, SOPOT, WARSZAWA

Piękną opowieść o znakomitym rzeźbiarzu – profesorze Marianie Wnuku – musieliśmy nieco skrócić. Mamy nadzieję, że Autor, życzliwy naszemu kwartalnikowi (w którym już parokrotnie mieliśmy zaszczyt drukować Jego teksty o lwowskich artystach z lwowskim rodowodem), przyjmie to z wyrozumiałością.

Świat opustoszał z bliska i z daleka
choć stracił tylko jednego człowieka

Marian Hemar

Niełatwo mi przyjdzie pisać wspomnienie o moim nauczycielu. Nasza znajomość i współpraca trwały bowiem trzydzieści lat. Dokumenty, zapiski, fotografie, pamięć wydarzeń, w których brałem udział lub byłem ich świadkiem, mogłyby dostarczyć materiału na osobną książkę. [...]

Szatyn o niebieskich oczach i dobrym, budzącym zaufanie spojrzeniu, miał ujmującą powierzchowność. [...] Dunikowski, który miał kompleks niskiego wzrostu, pytany, co sądzi o o swoich konkurentach, mawiał sepleniąc: *Bandura – Bandura taki duży, wielki, a Wnuk – Wnuk – psystojny, psystojny.*

Był eleganckim panem o nienagannych manierach, przystępnym, tolerancyjnym i wyrozumiałym. Dyskretnym opiekunem co biedniejszych studentów.

Miał duże poczucie humoru, był duszą każdego towarzystwa, pogodnym, niesłychanie towarzyskim kompanem, powszechnie lubianym przez środowisko ludzi kultury, w którym najchętniej przebywał. Był znany z tego, że będąc w towarzystwie dyskretnie płacił zawsze rachunki – czy to w kawiarni, czy w restauracji. Nigdy nie udało mi się Profesora na tym przyłapać. Niejednokrotnie ratował nas, studentów biesiadujących w restauracji, od skandalu, gdy zabrakło pieniędzy – nawet gdy przebywał tam nie z nami. Były to pierwsze lata po wojnie, w małowniczym Sopocie, gwarnym i tłocznym w sezonie letnim.



Profesor Marian Wnuk

Był bardzo wrażliwym i uczuciowym człowiekiem. Okazywał radość ze swoich sukcesów, porażki przeżywał ciężko i samotnie. Był ambitny – we Lwowie mówiło się: *trzymał fason swój jak szpic*. Reprezentował typ dżentelmena – to określenie po wojnie stało się nieadekwatne wobec czasów, w jakich przyszło nam żyć.

Poznałem Go w 1937 roku w czasie egzaminów wstępnych do Instytutu Sztuk Plastycznych we Lwowie. Pamiętam jakby to było dzisiaj: Profesor wyczytał nas z listy przyjętych: *Biłas, Smolana, Łodziana – to nazwiska rzeźbiarskie, zapiszcie się do mojej pracowni* – powiedział. Czy to był żart, czy intuicja? W każdym razie zostaliśmy rzeźbiarzami na całe życie.

Instytut Sztuk Plastycznych zajmował część gmachu Państwowej Szkoły Technicznej przy ulicy Snopkowskiej. Był to wielki, czworoboczny, secesyjny budynek z dużym podwórzem, boiskiem do siatkówki i ogrodem warzywno-owocowym. Instytut zajmował drugie i trzecie piętro oraz wysokie sutereny lewego skrzydła. Przed gmachem szkoły był zielony skwer ze starymi kasztanami

i pętlą tramwajów nr 2 i 11, jeżdżących na trasie Dworzec Główny – Śródmieście – Park Stryjski – Snopków. Była to dzielnica rekreacyjna, położona w szerokim jarze, otoczona wzgórzami Snopkowa z basenami Zielone Oko i Żelazna Woda oraz z lasem świerkowym na wzgórzu. Spędzaliśmy tam wagar, czyli po lwowsku – chodziliśmy *na hinter*. Ulicami Dwernickiego i Łukasiewicza, które pięły się do góry, można było dojść do chluby Lwowa – Panoramy Raclawickiej oraz na znane i sławne tereny Targów Wschodnich. Na małym wzgórzu górował okazały gmach VIII Gimnazjum...

Profesor – wysoki, szczupły, o sportowej sylwetce – miał wówczas niespełna 30 lat, a my po 17–18. Stał się naszym ideałem. Miał niepodważalny autorytet. Akceptowaliśmy go bez zastrzeżeń, a jego sztukę aprobowaliśmy bezkrytycznie. Pierwszą rzeźbą, którą podziwialiśmy, był ujęty w dynamicznym ruchu akt dziewczyny. Rzeźba, zapatynowana na brąz, stała w rogu pracowni szkolnej, obcowaliśmy z nią na co dzień. Wiedzieliśmy, że brała udział w olimpijskim konkursie sztuki w Berlinie 1936 roku. Studiowaliśmy jej formę i sposób traktowania, byliśmy pod jej wrażeniem. [...]

W 1937 roku Profesor był na stypendium w Paryżu i we Włoszech. Do Włoch udał się razem z inż. architektem Karolem Kocimskim, studiując m.in. pomniki konne – pod kątem konkursu na pomnik Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Po wakacjach wiedzieliśmy, że Profesor w swoim gabinecie-pracowni *vis a vis* naszej szkolnej pracowni jest w trakcie projektowania. Chwytałyśmy się różnych sposobów i pretekstów, by zobaczyć projekt. Pomnik był już gotowy w gipsie, a fragment – Marszałek na koniu – był w robocie. Na Prima Aprilis podłożyliśmy pod figurę atrapę końskich odchodów. Było dużo śmiechu, ale i strachu, bo nie byliśmy pewni reakcji Profesora. Potraktował ten uczniowski dowcip wyrozumiale. [...]

Po powrocie z zagranicy Profesor dzielił się z nami swoimi wrażeniami. Rozmowy z nim zamieniały się w niekonwencjonalne zajęcia z historii i teorii sztuki, zupełnie inne niż lekcje, które mieliśmy w programie. Mówił ciekawie, opisując rzeźby Rodina, Maillola, Despiau i innych. Był wtedy pod wielkim wrażeniem rzeźby francuskiej.

Profesor przychodził do naszej pracowni przynajmniej raz dziennie. Korektę pro-

wadził indywidualnie, niemal szeptem, by nie przeszkadzać innym. Obowiązywała cisza i wzorowa dyscyplina. Nie pamiętam, by kiedykolwiek podnosił głos. Przeważnie korekta i rozmowy przeciągały się poza cztery godziny codziennego studium natury, bo tak się ten przedmiot wówczas nazywał. W czasie dyskusji o sztuce Profesor stawiał pytanie: czym różni się rzeźba leżąca w przydrożnym rowie od wraku samochodowego? Odpowiedź: rzeźba jest dziełem sztuki, natomiast wrak pozostaje szmelcem. Po wojnie, nie przypominam sobie, by Profesor posługiwał się w dyskusjach tym testem. Myślę, że w dobie happeningów, antyszuki i instalacji – wrak samochodowy stał się tworzywem rzeźbiarskim.

Nie ma tu miejsca na opis atmosfery, jaka panowała w przedwojennej szkole, nie opiszę piękna i swoistego czaru tego najukochańszego mojego miasta na Ziemi, wagarów, słynących z urody dziewczyn lwowskich, siatkówki na szkolnym boisku, gdzie niejednokrotnie umykałem przed Profesorem. Powiedział mi przy jakiejś okazji, że też godzinami *szpilał w sito* w Akademii na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Był wyrozumiały, nie karcił nas. Nie opiszę Lwowa, jedynego, najweselszego, pełnego dowcipu miasta z charakterystycznym *bałakiem*. Wypędzonym w 1945 roku przez Stalina przyszło nam, kresowiakom, tułać się po świecie. Nie opiszę żalu, rozpacz i żarliwej tęsknoty.

Często wspominaliśmy z Profesorem nasze czasy związane ze Lwowem. Mimo że parokrotnie bywał w ZSRR w różnych delegacjach, po wojnie nigdy do Lwowa nie dotarł. Jak ja. Byłem gościem – nieproszonym – we własnym rodzinnym domu w czasie Ukrainy radzieckiej i tej obecnej. Ale to już inne opowiadanie.

Wojna 1939 roku – Armia Czerwona i formacje NKWD wkraczają do Lwowa. Mieszkańców traktują jak klasowego wroga. „Wyzwalano” nas od wszystkiego wartościowego – od zegarków (sławne *dawaj czasy*) po węgiel. Zostaliśmy bez opału na zimę. Dekret władz radzieckich z 1 listopada 1939 r. ustalił, że zostaliśmy obywatelami ZSRR – bez pytania i zgody. Lwów w owym czasie gościł niemal całą ówczesną elitę intelektualną Polski. NKWD zarządziło spis *bieżeńców* – uciekinierów z głębi Polski. Spis był pułapką.

Na tarasie szkoły siedzą od lewej: Adam Smolana, Hanna Grabska (córka prof. St. Grabskiego), Antoni Biłas i Profesor (fot. T. Łodziana)

Uruchomiono szkolnictwo. Wróciliśmy na studia, ale nie w pełnym składzie. Instytut zmienił nazwę na *Lvivske Derżawne Chudożno-Promyslove Uczylyszczce*. Zastaliśmy tam naszego Profesora, który, jak się okazało, brał udział w obronie Lwowa jako ochotnik. Program nauczania, mimo zmienionej nazwy i sowieckiego kierownictwa, pozostał ten sam. Stan liczebny studentów powiększył się do 360 osób. Doszły nowe przedmioty: historia WKP(b), język rosyjski i ukraiński. O socjalistycznym realizmie nikt nam nie wspominał. Widocznie uważano, że niczego nie należy zmieniać. Studiowaliśmy naturę. Żywych modeli było dużo. Pierwsza wystawa sztuki – to klęska środowiska. Krzyczano, że jest niezaangażowana, że naśladuje *wredne iskusstwo zapadnoj Jewropy*. To brzmiało groźnie.

NKWD aresztowało Stanisława Grabskiego, profesora UJK, ojca naszej koleżanki (wrócił – jako członek PKWN-u – do Lublina). Z naszej szkoły pierwsza została aresztowana i wywieziona profesor od tkanin i gobelinów, Maria Helm-Pirgo.

Gdyby nie wojna niemiecko-sowiecka w 1941 roku, tych wspomnień bym nie pisał. Byliśmy jako szkoła na liście NKWD, przeznaczeni do wywózki. W tym celu przygotowane były pociągi towarowe, którymi w panice uciekali Rosjanie przed hitlerowcami w czerwcu 1941 roku.

Profesor przyjął na asystenta ciężko schorowanego, lewicującego Henryka Wicińskiego, kolegę Marii Jaremiarki i Tadeusza Kantora z „Grupy Krakowskiej”. Nie udzielał się on dydaktycznie, chciał przetrwać. Zupełnie zagubił się w sowieckiej rzeczywistości. Inny nowy, profesor Fediuk, chwalił się, że znał Picassa, gdy przed rewolucją był w Paryżu. Uczył rysunku, był ludzki, ostrzegł nas dyskretnie przed prowokatorami.

Ciężar dekoracji pochodu 1-majowego spadł na barki szkoły i Związku. Wykonaliśmy duże herby szesnastu republik – każdy wydział według swojej specjalizacji wykonywał określone dekoracje. Artur Nacht-Samborski (po wojnie profesor ASP w Warszawie) przy powiększaniu portretu jakiegoś dostojnika pomylił się o jedną kratkę. Wyciągnięty na wysokość pierwszego piętra portret patrzył przesuniętymi oczami. Malarza posądzono o sabotaż. NKWD prowadziło dochodzenie. Gdyby nie jednomyślna, twarda postawa świadków, którzy ob-



stawali przy tym, że zaszła techniczna pomyłka, Nacht-Samborski prawdopodobnie nie byłby profesorem w ASP. Rosjanie nie mieli poczucia humoru, byli *sieriozni*.

W sierpniu 1940 roku władza radziecka urządziła szkole wycieczkę do Kijowa, Leningradu i Moskwy. Profesor był z nami. Zwiedzaliśmy pokrewne szkoły, muzea, galerie, cerkwie zamienione na ateistyczne muzea. Swoim ubiorem, drewniakami naszych dziewcząt, wzbudzaliśmy sensację. A wędniane, dwuczęściowe kostiumy kąpielowe, w których pokazały się na plaży nad Dnieprem, wywołały zachwyty i podziw. Otoczeni tłumem radzieckich ciekawskich nie mogliśmy przejść do wody.

Myśmy się dziwili, że oni się dziwili.

Ten sam program obowiązywał w pięknym Leningradzie. Ermitaż i jego zbiory zrobiły na nas wielkie wrażenie. Zwiedzając letni pałac carski, Peterskie Sieło, położone nad morzem, razem z Profesorem nago kapaliśmy się w Zatoce Fińskiej. Zaliczyliśmy Bałtyk.

Moskwa to miasto-moloch. Gigantyczne gmachy, szerokie ulice, nieliczne sklepy i kolejki do nich. Wyzłoczone metro, bogate w rzeźby, malarstwo, mozaiki. [...] Na Kremlu nas nie wpuszczono, a do mauzoleum Lenina nie chcieli nam się stać w gigantycznej kolejce. W Muzeum Puszkina za łapówkę kustoszka w białym fartuchu otworzyła nam na poddaszu wystawę niedostępną dla obywateli radzieckich. A tam – impresjonści.

Oglądaliśmy Akademię Sztuk Pięknych – dyplomy z rzeźby. Prace w glinie nie odlane z powodu braku gipsu! Rzeźby o tematyce rewolucyjnej, odrobione naturalistycznie, np. rozdarty but żołnierza z widocznymi kołkami szewskimi lub inaczej traktowane sukno płaszcza i skóra butów.

(dokończenie w numerze następnym)

O JULIUSZU PETRYM

Czterdziesta rocznica śmierci twórcy i dyrektora Polskiego Radia we Lwowie w latach międzywojennych, jest dobrą okazją do przypomnienia tej niezwykłej postaci.

Józef Drzazga

Juliusz Stefan Petry

Przed czterdziestu laty, w pochmurny, deszczowy dzień styczniowy, w ciszy leśnego domku w Milanówku, w zapomnieniu i ubóstwie, po długiej i ciężkiej chorobie zmarł znany radiowiec i literat, Juliusz Stefan Petry.

Urodził się w 1890 r. w małej miejscowości galicyjskiej Łopianka niedaleko Bolechowa (pow. Dolina) jako syn Józefa, urzędnika Dyrekcji Lasów Państwowych, i Felicji z Szyszkowskich, pianistki. W roku 1900 wysłano go do Lwowa, gdzie uczęszczał do IV Gimnazjum klasycznego, a ukończył je z wyróżnieniem. W latach 1909–14, jako stypendysta Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza, kończąc wydział Historii Literatury Polskiej i Romanistyki.

Koniec studiów Petryego zbiegł się z początkiem I wojny światowej. Brał udział w działaniach wojennych w szeregach armii austriackiej, a następnie w Legionach polskich. Po zakończeniu wojny przez 10 lat był profesorem Państwowej Szkoły Technicznej we Lwowie, ale w okresie tym parał się również twórczością literacką. Pisał utwory sceniczne i słuchowiska historyczne, w tym *Lwie Serca*, widowisko osnute na tle historii Lwowa, za którą otrzymał nagrodę literacką m. Lwowa. Sztuka była wystawiana wiele razy na scenie Teatru Wielkiego. Napisał także inne utwory: *Mocarze ducha*, *Kazimierz Pułaski*, *Popieldzi*, *Nowa Komedia Rybałtowska*, *Czou-Czu-Fang* (te dwie ostatnie nadało Polskie Radio w 1951 i 1981 r.) i kilka innych.

Do Związku Literatów Polskich należał od 1922 r. do ostatnich dni życia. Od 1930 r. do wybuchu II wojny pełnił odpowiedzialne funkcje najpierw kierownika literackiego, a następnie dyrektora Polskiego Radia we Lwowie i Wilnie. Dzięki ofiarnej pracy i wiel-

kiemu talentowi organizatorskiemu i artystycznemu postawił program radiowy na wysokim poziomie. Jako szef na pewno nie miał wrogów, pomimo że zajmował eksploatowane stanowisko. Był bardzo ruchliwy i czynny, ale spokojny, czasem zatroskany, czasem uśmiechnięty. Nigdy nie podnosił głosu i nie wtrącał się tam, gdzie nie czuł się kompetentny, a trzeba pamiętać, że wszystkie audycje w radiu szły wtedy na żywo. Atmosfera pracy w działach programowych nacechowana była zwykle podnieceniem, nerwowością i pośpiechem.

Juliusz Petry położył niemałe zasługi w rozbudowie i rozwoju rozgłośni lwowskiej, stawiając ją w rzędzie najlepszych w kraju, pozyskał dla twórczości radiowej wielu młodych i utalentowanych twórców.

W czasie nadawania „Wesołej Fali” w 1937 r. – za nadanie audycji satyrycznej naraził się czynnikom rządowym, za co został przeniesiony na równorzędne stanowisko do Wilna. Po półtorarocznej tam pracy, pod presją opinii publicznej, wraca do Lwowa, by objąć dawne stanowisko.

We wrześniu 1939, na polecenie władz wyjazdu za granicę, dotarł do Stanisławowa i – wrócił z powrotem do Lwowa, do swojej rozgłośni. Nadawał audycje aż do chwili jej unieruchomienia.

Okres wojny to również intensywna i niebezpieczna praca konspiracyjna w AK. Zorganizował w tym czasie ponad sto wieczorów literacko-muzycznych w mieszkaniach prywatnych (z czerwoną lampką na wzór studia radiowego) z udziałem znakomych muzyków i znanych sław naukowych.

W jednym z trzech tomików poezji lwowskich literatów, wydanych przez BIP (Biuro Informacji i Propagandy) AK w 1943 r. pt. *Wierne Płomienie* (pod red. Stefanii Skwarczyńskiej) znalazł się wiersz Petryego *Lewek Ratuszowy*:

*Miły nam, dobry lewku z ratuszowych progów,
Uśmiechem witający magistrackie dzieci,*

*Gdzieś się podział, gdzieś zniknął? Pewnie
 łapy wrogów
 Wyniosły cię w noc ciemną na cmentarz
 rupieci.
 Dziś nam lwów nie potrzeba – wystarczy
 staliny,
 Skradające się chytrze ku łatwej zdobyczy.
 Lecz ty ojcze herbowy miałeś zwyczaj inny:
 Uderzać gdzie się tylko na swą dzielność
 liczy.
 Rozgląda się żałośnie po pustym cokole
 Drugi lewek, towarzyszu smutków i nadziei.
 Oto już na nas przyszły ostatnie niedole,
 Wybiorą nas z gniazda wszystkich po kolei.
 A może ty po prostu bracie zwiął bez znaku,
 Kiedy znużony śpiewem zadrzemał Nikita
 I zieloną granicą chyłkiem, „wot sobaka”,
 Przemyskasz się ku wyspie, co ze mgieł
 wykwiła?
 Kiedy się wreszcie znajdziesz w gentleman-
 ów kole,
 Zarycz mój miły lewku, wstrząśnij tą krainą.
 Niech lordom z rąk wypadną lśniąca para-
 sole,
 Niech zagrzmi lew brytyjski – gdy polskie
 lwy giną!*

W okresie okupacji J. Petry pracował zawodowo w Muzeum Przemysłowym, a ponadto w RGO (Rada Główna Opiekuńcza) współpracował w tym czasie z ks. Michałem Rękasem, niosąc pomoc Polakom, uchodzącym do Lwowa z całej Małopolski Wschodniej przed pogromami UPA i SS.

Po wojnie staje od razu do pracy w oddrodzonej radiofonii polskiej. W latach 1946–48 organizuje rozgłośnie w Wrocławiu, będąc jej pierwszym dyrektorem. Miasto jeszcze leżało w gruzach, warunki życia i pracy były niesłychanie prymitywne i trudne. Juliusz Petry całą duszę włożył w organizowanie od podstaw powierzonej mu instytucji. I kiedy po dwóch latach odchodził stamtąd, powołany na dyrektora programowego Warszawy II, rozgłośnia wrocławska pełnym głosem brzmiała w eterze. Miała własny program muzyczny, literacki i społeczny.

Jeszcze raz w 1952 r. powołany został w Warszawie do pionierskiej pracy przy organizowaniu telewizji. Biuro TV mieściło się na Pradze, w jednym pokoju, zatrudniało kilku ludzi. Entuzjazm Petrygo dynamizował te skromne zaczątki, a wyrazem tego

była broszura o telewizji, napisana wspólnie z jednym z inżynierów TV.

Po opuszczeniu Wrocławia zamieszkał Petry w Milanówku. Tam również spędził ostatnie lata swego życia pod opieką żony Celiny Nahlik-Petry (byłej spikerki lwowskiego i wrocławskiego radia), którą poślubił na początku wojny po śmierci pierwszej żony Zofii. Domek stanowiący własność siostry żony, wybudowany w lesie, nie posiadał wody, gazu ani kanalizacji. Gotowano na prymusie lub na kuchni węglowej.

Do pracy w Warszawie dojeżdżał Petry codziennie kolejką podmiejską – WKD. Był człowiekiem, który nie posiadał za grosz sprytu życiowego, nie potrafił załatwić przydziału mieszkania w Warszawie. Po prostu wciąż zajęty pracą, nie dbał o sprawy osobiste. W listopadzie 1953 r. uległ paraliżowi. Wyężona praca stała się przyczyną długotrwałej choroby, która przykuła go na długo do wózka.

Choroba zmogła tego Mocarza, zmarł w styczniu 1961 r. w Milanówku, gdzie został pochowany na miejscowym cmentarzu. Pogrzeb odbył się skromnie, przy udziale rodziny, kilku kolegów z warszawskiego Radia oraz garstki sąsiadów. Nad grobem pożegnał go



w serdecznych słowach miejscowy proboszcz. W radiu i prasie w kraju i za granicą żegnali zmarłego koledzy i przyjaciele, w „Życiu Warszawy” ukazał się tylko urzędowy nekrolog. Mieszkańcy Lwowa pożegnali Juliusza Petryego udziałem w nabożeństwie żałobnym w wypełnionej po brzegi Katedrze Lwowskiej.

Ubył z szeregów pracowników polskiej kultury i radiofonii człowiek o wielkich zaletach. Jego długoletnia działalność na stałe wpisała się w dzieje kultury Polski i polskiego Lwowa.

Pamięć o nim pozostała wśród radiowców i rzeszy radiosłuchaczy. Chyba warto dziś zająć się zebraniem i wydaniem utworów zmarłego. Ocalała ich część jest zdeponowana w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Jacek Jedliński

Pamięci Juliusza

Kiedy zbierałem materiały do cyklu felietonów pod tytułem *Rozmowy i spotkania*, nadeszła tragiczna wiadomość: umarł Petry. Zamierzone moje odwiedziny w Milanówku, gdzie spędził ostatnie, smutne lata swego bujnego życia, były już nieaktualne. Nic dziwnego: pokolenie nasze odchodzi. Ocena jego wkładu w naszą narodową kulturę, rachunek zasług i przewin się zamyka i osąd nie do nas należy. [...]

Mówić o Petrym – to znaczy mówić o narodzinach Polskiego Radia w okresie międzywojennym i narodzinach Telewizji po roku 1945. Przyjaźń moja z Juliuszem datowała się z lat młodzieńczych, współpraca – właśnie na polu radiofonii, w okresie gdy był kierownikiem programowym lwowskiej rozgłośni. Odwiedzał mnie nieczęsto w moim podkarpackim uroczysku. Kochał przyrodę i rozumiał ją – jak poeta i dramaturg. Ceniliśmy sobie zawsze człowiecze związki z naturą. Rozmach urbanistyki i uprzemysłowienia nie był wtedy jeszcze tak oszalałamiący, a jednak – wyczuwało się zmęczenie życiem i rytmem wielkiego miasta. Praca w rozgłośni, gdzie wszystkie audycje nagrywano na żywo, bynajmniej nie należała do najłatwiejszych. Tym bardziej, że – obok ciągle wprowadzanych w latach trzydziestych udoskonaleń technicznych,

wiele uwagi poświęcić trzeba było sprawom organizacyjnym, repertuarowi, małym formom, innowacjom, do których dzisiaj tak doskonale w odbiorze audycji jesteśmy przyzwyczajeni. Ciągłe pamiętajmy, że w początkach *Wesołej Lwowskiej Fali* czy słuchowiskach, nie dysponowaliśmy jeszcze tak ważną pomocą i ułatwieniem, jakie zawdzięczamy dzisiaj wszędzie docierającej taśmie magnetofonowej. Nawet do efektów dźwiękowych (dziś branżach z taśmą) trzeba było osobnego aktora i nie lada maestrii, aby słuchowisko odpowiednio ożywić, zilustrować!

Jako zamiłowany regionalista, wygłaszałem pogadanki krajoznawcze z cyklu *Na turczańskich poloninach* i gawędy o *Zamkach na Podolu*. Tematyka historyczna była Juliuszowi szczególnie miła i bliska. Autor znakomitego widowiska *Lwie serca*, umiał intuicyjnie wywołać postacie minionych wieków i nadać inscenizacjom kształt właściwy epoce.

Ostatni raz widzieliśmy się w 1939 roku. Chmury wojenne zbierały się nad Europą. Debatowaliśmy wtedy nad sensem i celem ewokowania obrazów z przeszłości. Juliusz – zawsze pełen pogody i optymizmu – mówił o roli sztuki i psychologicznym znaczeniu klasycznego *katharsis*, zawsze potrzebnego człowiekowi. Miłośnik Słowackiego i współluczeń Kleinerera (dlatego zwany w kole przyjaciół żartobliwie *Juliuszem III*) zachował zawsze młodzieńczy, romantyczny polot i doskonale godził potrzebę postępu z roztropnym, niekiedy elegijnym rewerssem w stronę tradycji. Toteż wielką stratą dla Lwowa było, kiedy ten *urodzony* humanista odszedł na równorzędne stanowisko do Wilna. W pamięci wilnian również zapisał się bardzo mile. W wyzwolonym w roku 1945 kraju jako jeden z pierwszych wraca do ulubionego warsztatu pracy i po krótkim pobycie we Wrocławiu osiedla się w Warszawie, gdzie z niesłabnącą energią, w warunkach niesłychanego prymitywu przystępuje do budowy podwalin polskiej telewizji. Poczynania swoje – zawsze bardzo sumienny – poprzedza żmudnymi, źródłowymi studiami, których owocem jest pionierska praca, wydana wspólnie z Wacławem Dutkiewiczem pod tytułem *Wśród światła telewizji*. I chociaż – w stosunku do owej doby

(ciąg dalszy na s. 60)

Co by było, gdyby...

Zaprzyjaźniony z krakowskim oddziałem Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW Klub „Zaułek” przy ul. Poselskiej 9 (pisaliśmy o nim wielokrotnie – ostatnio był fotoreportaż w CL 4/2000) otworzył na sam koniec naszego stulecia wystawę pod świetnym tytułem **Obraz na obrazie, a na tym obrazie jeszcze jeden obraz – Wystawa artystów szczącących się lwowskim rodowodem** (na wystawie zaprezentowali się głównie malarze, tylko jedna rzeźbiarka oraz fotograficy). Inicjatorką i twórczynią wystawy była nieoceniona kierowniczką „Zaułka”, pani Barbara Kościk, a pomocą merytoryczną służył jej art. plast. Stefan Berdak (lwowianin, o którym też już pisaliśmy), on też wymyślił tytuł i opracował graficznie zaproszenie i folder. Tekst zawarty w tym folderku, pióra innego lwowianina, red. Jerzego Madeyskiego (niezwykle w Krakowie popularnego), drukujemy poniżej.

Pani Basia zaprosiła do udziału w wystawie dwadzieścia kilka osób – od profesorów poczynając – które wspólnie zidentyfikowaliśmy jako lwowian z urodzenia i wychowania albo nawet studiów (przynajmniej we Lwowie rozpoczętych, a kontynuowanych głównie na krakowskiej ASP), albo tylko rodzinnych sentymentów. Wszyscy chętnie użyczyli swoich prac – przykłady własnej twórczości, powstające w ostatnich dziesięcioleciach w Krakowie. Obrazy nie były więc przeważnie związane z ziemią urodzenia ich autorów, bo nie chodziło wszak o rozpamiętywanie przeszłości, lecz o żywą, autentyczną twórczość artystów polskich, europejskich, dwudziestowiecznych.

Warto wspomnieć, że marzeniem twórców wystawy była ogólnopolska prezentacja plastyków o lwowskich korzeniach. O podobnych zamiarach dochodzą wieści z Warszawy, Gliwic. Na razie nie było to możliwe, ale kto wie...

Grudniowy wernisaż w krakowskim „Zaułku” zgromadził tłum (przepraszamy za wyrażenie, ale jak inaczej nazwać ten niezapomniany ścisk i harmider?) lwowsko-krakowskiej inteligencji. Przybyli twórcy, ich



rodziny i przyjaciele, historycy sztuki, dziennikarze i „szeroka publiczność” – głównie z kręgów TML-owskich. Otworzył wystawę pięknym i ciepłym przemówieniem prof. Leszek Wajda (lwowianin *przyszywany*, ale dowiedzieliśmy się przy okazji, że korzenie wiodą także z Kamionki Strumiłowej!).

Były i inne wypowiedzi. Zwrócono uwagę, że reprezentowani na wystawie artyści, mimo oddalenia w przestrzeni i czasie, nadal czują więź ze Lwowem – skoro na apel zgłosili swój udział. Można przeto domniemać, że twórcy ci – gdyby przed parudziesięciu laty nie stało się to, co się stało – stanowiliby (w jakiejś części przynajmniej) lwowskie środowisko artystyczne i we Lwowie wzbogacali polską sztukę. Wystawie można by więc nadać inny jeszcze podtytuł: *Co by było, gdyby...*

Zwrócono też uwagę, że w tych samych dniach we Lwowie czynna była – w ramach III Festiwalu Kultury Polskiej – wystawa polskich plastyków żyjących w tamtym państwie – piszemy o tym również w tym numerze. Przed paroma miesiącami odbył się we Wrocławiu zjazd absolwentów lwowskiego Instytutu Sztuk Plastycznych z czasów przedwojennych i wojennych (była o tym informacja w CL 4/2000). Ponadto w numerach 4/99 i 3/2000 publikowaliśmy materiały o plastykach lwowskich – dawniejszych i dzisiejszych, z tej i z tamtej strony kordonu. W sumie był to więc dobry czas dla polskiej sztuki Lwowa, prawda?

* * *

Na zakończenie wernisażu Kazimierz Madej i artyści z Loch Camelot wykonali świetny i zabawny program, przyjęty przez zebranych z entuzjazmem.

* * *

Objaśnienie zdjęć ze strony 27

- Wystawę otwiera inicjatorka i organizatorka wystawy Barbara Kościak wraz z prof. Leszkiem Wajdą.
W tle obraz licealisty Tomaza Welny.
- Kazimierz Madej śpiewa lwowskie piosenki.
W tle obrazy Stefana Berdaka.
- Uczestnicy wernisażu w czasie występu zespołu Kazimierza Madeja.

EWA BARAŃSKA-JAMROZIK

Ur. 1944 we Lwowie. W Krakowie ukończyła szkołę i Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, a następnie architekturę wnętrz na krakowskiej ASP. 1971–75 była asystentem na tej uczelni, od 1971 uprawia wolny zawód plastyka jako architekt wnętrz, malarz i grafik. Zaprojektowała (wraz z mężem L.A. Jamrozikiem) wiele wnętrz obiektów i lokali użyteczności publicznej, ekspozycji wystawieni- nicznych, mebli, scenografii itp. Jest autorką kilku- set karykatur czołowych polskich polityków.

Na wystawie zaprezentowała karykatury (akwarele): *Nocą w Belwederze '93 i Kolęda polityków '92* i inne.

STEFAN BERDAK

Ur. 1927 we Lwowie, mieszkał przy ul. Moch- nackiego. Uczył się w szkole powszechnej im. Mickiewicza, a od 1942 w Szkole Przemysłu Ar- tystycznego i równocześnie w prywatnej pracowni St. Kaczor-Batowskiego. 1945–47 w Opolu. Od 1947 w Krakowie w Liceum Sztuk Plastycznych, od 1949 studia na ASP, dyplom w 1955. Uprawia grafikę artystyczną i użytkową oraz malarstwo. Wystawia od 1955. Współpracuje z redakcjami czasopism, w szczególności związany z „Prze- krojem”. Działacz ZPAP.

Na wystawie pokazał dwa obrazy z cyklu *Anioły*.

ADAM BLOK

Ur. 1926 we Lwowie, mieszkał przy ul. 22 Stycz- nia. Uczył się w szkole powszechnej im. Konop- nickiej i w ćwiczeniówce. Równocześnie uczest- niczył w zajęciach plenerowych studentów Wy- działu Malarstwa Szkoły Technicznej. Za okupacji sowieckiej nauka w gimnazjum VIII. Wywieziony na roboty do Niemiec, po wojnie służba w armii francuskiej. Powrót do Polski 1947. Z wykształ- cenia i zawodu ekonomista, ale przez całe życie uprawia rysunek i malarstwo. Udział w licznych wystawach, nagradzany.

Na wystawie pokazał akwarelę *Sianokosy w Beskidach*.

WANDA DOBRZYCKA-SYKUT

Ur. we Lwowie. Naukę szkolną oraz uniwersy- teckie studia ekonomiczne i prawnicze ukończyła we Lwowie. Równolegle uczyła się rysunku, ma- larstwa i historii sztuki. Po wojnie w Krakowie, pra- cowała w zawodzie nauczycielskim, obecnie na emeryturze. Uprawia malarstwo i pisze wiersze.

Na wystawie zaprezentowała obraz olejny *Lwowskie wieże*.

ANDRZEJ FORNELSKI

Ur. 1922 we Lwowie, mieszkał przy ul. Po- tockiego. Nauka w szkole św. Marii Magdaleny

i w IV Gimnazjum. W czasie obu okupacji sowieckich uczęszczał do Szkoły Przemysłu Artystycznego, a za czasów niemieckich pracował w warsztatach kolejowych. Należał do NOW-AK, drukował gazetkę *Słowo Polskie*. Przed wyjazdem ze Lwowa w 1946 r. ukończył tajne komplety maturalne. W Krakowie ukończył studia na ASP i aż do emerytury był pracownikiem naukowym tej uczelni. Uczestniczył w wielu wystawach malarstwa.

Na wystawie pokazał autoportret olejny.

JOANNA HALAUNBRENNER-LISOWSKA

Ur. 1935 we Lwowie, mieszkała przy ul. Tarnowskiego. Nauka rozpoczęta we Lwowie, ukończona (od 1945) w Krakowie. 1952–59 studia na AM w Krakowie, jest lekarzem-psychiatrą. Pracowała w szpitalach psychiatrycznych i poradniach zdrowia psychicznego w Krakowie oraz w Instytucie Psychoneurologicznym w Warszawie, autorka prac naukowych. Jej pasją twórczą jest malarstwo, głównie na szkłe. Związana z krakowską galerią „Kocioł Artystyczny”.

Na wystawie zaprezentowała *Anioły na lwowskim Rynku*, *Wieże Lwowa* i *Ormiańskie aniołki*.

JULIAN JONIAK

Ur. 1925 we Lwowie, mieszkał przy ul. Morskiej na Wulce. Nauka w szkole powszechnej św. Marii Magdaleny i gimnazjum im. Sienkiewicza. Podczas okupacji w Szkole Przemysłu Artystycznego we Lwowie. Od 1945 w Bytomiu. Studia na ASP w Krakowie od 1945, dyplom 1950. Uprawia malarstwo. Jest profesorem krakowskiej ASP, był dziekanem i prorektorem. W 1995 otrzymał najwyższą nagrodę na VII Festiwalu Sztuk we Francji, został członkiem honorowym Academie Europeenne des Arts w Paryżu.

Na wystawie pokazał 2 obrazy olejne: *Potudnie w Port Ligat* i *Oliwki w Cadaques*.

TADEUSZ KNAUS

Ur. 1926 we Lwowie, mieszkał m.in. przy ul. Potockiego i na Nowym Lwowie. Uczęszczał do szkoły powszechnej św. Józefa, potem do sowieckiej *dziesięciolatki* w gmachu VIII Gimnazjum. W czasie okupacji niemieckiej chodził na kursy przygotowawcze do szkoły techniczno-fachowej, pracował w elektrowni lwowskiej i przy wyrębie lasu w *Baudienst*. Należał do NOW-AK. Wyjechał ze Lwowa w 1946, maturę zdał w Zakopanem. Studia na krakowskiej ASP, dyplom w 1956 na wydziale konserwacji dzieł sztuki. Pracował przy konserwacji malarstwa ściennego i sztalugowego, uprawiając równocześnie własną twórczość malarską.

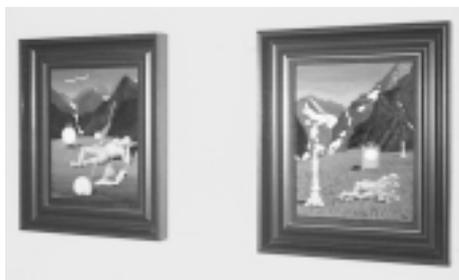
Na wystawie zaprezentował 3 obrazy (akryl) z cyklu *Śpiący rycerze*.



Ewa Barańska-Jamrozik



Adam Blok



Tadeusz Knaus



Andrzej Fornelski



ZDZISŁAWA KOBLAŃSKA

Ur. we Lwowie w rodzinie stanisławowskiej. Naukę rozpoczęła w Stanisławowie, w szkole ss. Urszulanek. Absolwentka krakowskiej ASP, dyplom scenografa otrzymała w 1963. Uprawia malarstwo i tkaninę unikatową. Poza pracą zawodową podróżuje i pisze.

Na wystawie pokazała portret olejny *Pani Eleonora*.

BRONISŁAW KOCÓJ

Ur. 1922 we Lwowie, mieszkał na Białohorszczu. Do szkół uczęszczał we Lwowie i Kamionce Strumiłowej. 1942–46 studia w Szkole Przemysłu Artystycznego we Lwowie. Po wojnie ukończył studia architektoniczne na Politechnice Krakowskiej, praca do 1980 w biurach projektowych w Krakowie. Poza architekturą uprawiał malarstwo i rzeźbę.

Na wystawie zaprezentował dwa obrazy olejne: *Kwiat dziewanny* i *Malwy polskie*.



ZBIGNIEW ŁAGOCKI

Ur. 1927 we Lwowie na Łyczakowie. Nauka szkolna we Lwowie, matura w Krakowie, 1947. Studia architektoniczne na Politechnice Krakowskiej, dyplom 1952. Uprawia fotografię od najmłodszych lat, a zawodowo od 1957. W 1980 rozpoczął pracę dydaktyczną na ASP w Krakowie na wydziale architektury wnętrz, a od 1982 na wydziale grafiki. Od 1990 jest kierownikiem katedry fotografii, od 1994 jako profesor. Dwukrotnie był prorektorem ASP, wielokrotnie delegatem na międzynarodowe kongresy i członkiem jury wystaw fotograficznych. Uczestniczył w kilkudziesięciu wystawach, otrzymał liczne nagrody i odznaczenia.

Na wystawie przedstawił trzy zdjęcia z cyklu *Impresje krakowskie*.

TADEUSZ ŁUKASIEWICZ

Ur. 1938 w Pradze (jego ojciec był tam sekretarzem konsulatu polskiego) w rodzinie wschodniomałopolskiej pochodzenia ormiańskiego. Po II wojnie w Sopocie, od 1960 w Krakowie. Ukończył studia na ASP w zakresie architektury wnętrz i form przemysłowych, dyplom 1967. Uprawia malarstwo. Miał wystawy indywidualne, uczestniczył w pokazach zbiorowych. Pisze wiersze.

Na wystawie zaprezentował cykl 6 pasteli *Studia na temat pejzażu*.

WANDA MACEDOŃSKA-ZALEWSKA

Ur. we Lwowie. Naukę szkolną rozpoczęła we Lwowie, od 1940 w Krakowie. Ukończyła krakowską ASP, uprawia malarstwo. TVP nakręciła film o jej i jej brata Adama twórczości. Jest żoną Władysława Zalewskiego, profesora ASP, konserwatora, potomka słynnej rodziny lwowskich cukierników.

Na wystawie przedstawiła 2 obrazy olejne: *Czego Nie Ma Dzisiaj Będzie Jutro* i *Doctus* oraz kompozycję rysunków tuszem *Veritas delectat*.

ADAM MACEDOŃSKI

Ur. 1931 we Lwowie. Do 1940 mieszkał przy ul. Łyczakowskiej, nauka w szkole powszechnej im. Staszica i im. Zimorowicza. Od 1940 w Krakowie, nauka w szkole i na tajnych kompletach, po wojnie w szkołach średnich, 1948–50 w Liceum Sztuk Plastycznych. Po maturze studia aktorskie, na ASP i historyczne na UJ. Początkowo pracował w wielu zawodach, a od lat 50. zamieszczał swoje rysunki humorystyczne w „Przekroju” i innych czasopismach. Od wczesnych lat angażuje się w liczne akcje i organizacje niepodległościowe, a także kulturalno-artystyczne.

Na wystawie zaprezentował rysunki tuszem: *Przyszłość*, *Jazda w ataku*, *Dobra żona*, *Ułani*, *ułani*.

KAZIMIERZ MADEJ

Ur. 1952 w Zimnej Wodzie k. Lwowa. Ziemię rodzinną opuścił w 1957. Od 1972 studia na ASP w Krakowie, 1977 dyplom z malarstwa, 1983 dyplom z wyróżnieniem ze scenografii. Od 1983 związany z kabaretami: Piwnicą pod Baranami i Loch Camelot. Uprawia malarstwo, scenografię, grafikę, *performance*, instalacje.

Na wystawie obraz w technice mieszanej *Biały 99*.

ANNA MŚCIWUJEWSKA-WAJDA

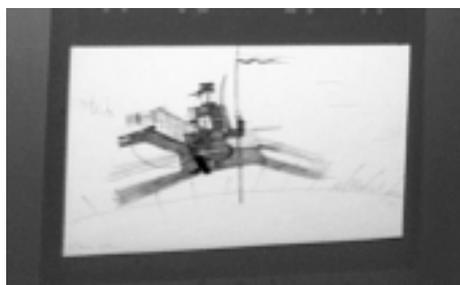
Ur. 1927 we Lwowie, mieszkała przy ul. Potockiego i Nabelaka. Nauka w szkole powszechnej im. Żółkiewskiego, a 1939–41 i 1944–45 w sowieckiej szkole średniej (w gmachu gimnazjum XI im. Śniadeckich). W czasie okupacji niemieckiej na kursach przygotowawczych do szkół zawodowych. Od 1945 w Krakowie, tam matura. Od 1947 studia na wydziale grafiki na PWSSP/ASP, dyplom 1953. Równoległe ukończyła Studium Scenografii. Uprawia grafikę użytkową i projektowanie wystaw, tworząc zespół autorski z mężem Leszkiem Wajdą.

Anna i Leszek Wajdowie pokazali dwa zdjęcia z wystawy *Odsiecz Wiedeńska 1683* i projekt ekspozycji.

WOJCIECH PLEWIŃSKI

Ur. 1928 w Warszawie. Z wykształcenia architekt (Politechnika Krakowska), z zawodu uprawianego fotografik. W tej dziedzinie uprawia reportaż, portret i akt, teatr, pejzaż i architekturę, reklamę. Od 1957 współpracuje z „Przekrojem”, teatrami. Sentyment do ziem wschodnich wyniósł z domu. Jako dziecko spędzał wakacje w majątku

Eugeniusz Waniek



Adam Macedoński



Wanda Dobrzycka-Sykut



Zdzisława Koblańska



Kazimierz Madej

Witold Skulicz

Wanda Macedońska-
-Zalewska



Krystyna Sieraczyńska



Joanna Halaubrenner-Lisowska



krewnych na Pokuciu, co obudziło jego fascynację Huculszczyzną.

Na wystawie pokazał fotografie: *Teresa i Wiesław Dymny, Autoportret, Przesiedlany, Oko Opatrzności*.

ANNA PRAXMAYER

Ur. we Lwowie, rodzina mieszkała tam przy ul. Małachowskiego. Od 1944 w Krakowie, w 1956 ukończyła Liceum Sztuk Plastycznych. Studia na ASP, dyplom na wydziale rzeźby 1962; ponadto na wydziale malarstwa monumentalnego oraz grafiki-metalu-plakatu i studium pedagogicznym – dyplom 1963. Uprawia rzeźbę monumentalną, medalierstwo, ceramikę.

Na wystawie pokazała 3 medale (brąz) *Uniwersytet Jagielloński*.

KRYSTYNA SIERACZYŃSKA

Ur. w Wyżnianach (pow. Przemyślany, woj. tarnopolskie). Mieszkała i naukę rozpoczęła w Nadwórnej i Brzeżanach. Od 1945 w Krakowie, tu ukończyła studia na ASP, dyplom 1953. Uprawia malarstwo.

Na wystawie zaprezentowała dwa obrazy olejne z cyklu *Stare miasto*.

ANNA SKOCZYLAS (z d. KLEMENSIEWICZ)

Ur. 1928 we Lwowie. Mieszkała przy ul. Nabelaka, nauka w szkole powszechnej św. Marii Magdaleny i Sacré Coeur. Od 1945 w Krakowie, gdzie ukończyła szkołę średnią oraz studia na wydziale wókienniczym ASP (1948–53). Uprawia fotografię, głównie górską, związaną z zamiłowaniem do turystyki górskiej i wspinaczki oraz narciarstwa, a także z zamiłowaniem do podróży (Azja, Afryka, Ameryka Płd.). Wydała sześć tomów poezji i dwa zbiory opowiadań, członek ZLP i SPP.

Na wystawie zaprezentowała 5 zdjęć z *Czarohory* i *Gorganów*

WITOLD SKULICZ

Ur. 1926 w Krakowie. Do 1939 w Katowicach, po wybuchu wojny znalazł się w domu rodzinnym ojca na Bogdanówce we Lwowie. Uczęszczał tam do szkoły średniej, a od 1942 uczył się w Szkole Przemysłu Artystycznego. W 1944, gdy powołano go do Baudienstu, uciekł do Krakowa. Tu matura i studia na ASP, dyplom 1954 (z wyróżnieniem). Uprawia grafikę. W 1960 zainicjował Biennale Grafiki w Krakowie (przekształcone później w Międzynarodowe Triennale Grafiki), z czasem został jego przewodniczącym. Od 1964 związany z ASP, obecnie jej profesor, był też dziekanem wydziału grafiki.

Na wystawie pokazał obraz olejny *Ogród w nocnym świetle*.



Anna Praxmayer

JAN STOPCZYŃSKI

Ur. 1936 we Lwowie, mieszkał przy ul. Żółkiewskiej. Tam rozpoczął naukę szkolną, ukończył w Krakowie. Absolwent wydziału grafiki krakowskiej ASP, dyplom 1961. Uprawia grafikę i malarstwo, z zamiłowaniem marzynista (jest wiceprezesem ZG Stow. Marynistów Polskich, prezesem koła w Krakowie).

Na wystawie przedstawił dwie akwarele.

JERZY SZINDLER

Ur. 1926 w Krakowie. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Monasterzyskach, tam uczęszczał do szkół. W Krakowie od 1944, studia na AM (nieukończone). Pracował jako urzędnik państwowy. Od lat 50. uprawia malarstwo, w l. 1973–98 był prezesem Stowarzyszenia Plastyków Nieprofesjonalnych.

Na wystawie pokazał obraz olejny *Lwowski zakątek*.

TERESA ŚWIEŻY-KLIMECKA

Ur. we Lwowie. Mieszkała i do szkoły powszechnej uczęszczała w Brzuchowicach k. Lwowa. Studia w Szkole Przemysłu Artystycznego we Lwowie. Od 1945 w Krakowie, matura i studia na ASP, dyplom w 1954. Uprawia malarstwo sztalugowe i ściennie.

Na wystawie pokazała obraz olejny *Sosny w Łebie*.

LESZEK WAJDA

Ur. 1927 w Suwałkach (w rodzinie związanej z Kamionką Strumiłową, a przez żonę zainteresowany Lwowem). 1948–53 studia na wydziale architektury wnętrz ASP w Krakowie. Od 1953 projektuje wraz z żoną Anną Mściwujewską-Wajdową ekspozycje wielkich wystaw muzealnych (w tym na Wawelu). W latach 1953–97 był profesorem na wydziale architektury wnętrz krakowskiej ASP.

Na wystawie – patrz Anna Mściwujewska-Wajda.

EUGENIUSZ WANIEK

Ur. 1906 w Ustrzykach Dolnych. Nauka w gimnazjum matematyczno-przyrodniczym we Lwowie, matura 1926. Studia artystyczne na ASP w Krakowie. 1946–54 był nauczycielem w Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, od 1953 wykładowcą na ASP oraz scenografem w Teatrze Młodego Widza.

Na wystawie przedstawił obraz olejny z cyklu *Polacy w stepach Kazachstanu* (1994).

TOMASZ WEŁNA

Ur. 1980 w Krakowie, w rodzinie o korzeniach lwowskich. Naukę ukończył w krakowskim VII LO im. Z. Nałkowskiej, zaprzyjaźniony z lwowską Szkołą Nr 10 im. św. Marii Magdaleny. Od 1999 jest studentem Wydziału Grafiki ASP w Krakowie.

Na wystawie zaprezentował obraz namalowany w szkole średniej *Lwów który pamiętam* (pastel, 1999).



Tomasz Wełna

Jerzy Madeyski

GENIUS LOCI

Tekst napisany specjalnie do programu wystawy „Obraz na obrazie...”

Lwów nie lubi płakać i rozdzierać szat. A nawet posypywać sobie głowy popiołem w pokornej ekspiacji. Lwów potrafi bić i umiegiąć, gdy tego zajdzie potrzeba, lecz nie znosi poczucia beznadziejności i bezsiły.

Jego też *genius loci*, duch miejsca, bądź – ściślej – lokalny temperament odbijał się zawsze w tworzonej w jego murach sztuce. Radosnej, pełnej werwy i jakże dla tego miasta typowej życzliwej zadzierzystości, którą krok tylko jeden dzieli od dumnego przekonania o swej absolutnej wyższości nad pozostałymi miastami, nacjami i zamieszkałymi przez ludzi globami nawet, bo przecież Lwów jest jeden i drugiego być nie może. Choćby ten Lwów żył już tylko i istniał w sercach jego dzieci.

Taką też sztukę tworzyli wszyscy lwowiaczy. Ci z dziada pradziada i przybysze, bo Lwów asymilował z przedziwną łatwością i potrafił nawet wrogów przeciągnąć na swoją stronę. Sławna jest odpowiedź panny Izy Liedl von Lillienfels – córki wysokiego urzędnika Namiestnictwa – dana urzędnikowi III Rzeszy, który w roku 1941 wręczył jej z należnym szacunkiem Reichslistę do podpisania.

– Nie, ja tego nie podpiszę.

– Czemu – zdumiał się urzędnik – przecie rodzice Gnaedige Frau byli rodowitymi Austriakami, a łaskawa Pani nawet po polsku poprawnie nie mówi (co było prawdą, przyp. mój J.M.).

– Aber ich bin in Lemberg geboren und denn habe ich eine polnische Seele – lecz urodziłam się we Lwowie i mam polską duszę – odpaliła panna Iza z lwowskim właśnie temperamentem, bo dla niej Lwów i Polska tworzyły jedno. Lecz to dygresja.

Lwowska sztuka oddawała więc, jako się rzekło, ducha miasta i nadal brzmi on w dziełach jego artystów. Lwowskie poczucie humoru i mistrzostwo wykonania zapewniły sławę Janowi Ziarnce, znanemu we Francji pod nazwiskiem le Grain, lecz z nieodzownym uzupełnieniem „Leopoliensis”, jak sygnował swoje prace, w którym wzorował się wielki Jean Jacques Callot wraz z plejadą paryskich

zwłaszcza artystów, takie też były rozróżnione postacie wyszłe spod dłuta rodziny Fesingerów, z których jeden, Fabian, wyrzeźbił figurę błogosławionego Jana z Dukli, stojącą przed bernardyńskim kościołem na wysokiej kolumnie. I dzieła Pinzla, Osińskiego, Wolańskiego, Starzewskiego i tylu innych, bez których nasza sztuka byłaby uboga i niepełna. Zwłaszcza niepełna.

Bo czymże byłby nasz, jakże polski sarmatyzm, skądinąd pierwsza w Europie próba samoidentyfikacji, bez lwowskiego udziału, bez jakże dla sarmatyzmu typowych „splendorów” wykonanych w lwowskich warsztatach, bez bogatej broni i kobierców, jedwabi i adamaszków, trzęsień na czapkach i piór „samemu Feniksowi z ogona wydartych” a sto dukatów sztuka, które tak wydatnie podkreślały i podnosiły godność karmazynów.

Tak, bez Lwowa nasza sztuka byłaby uboga i niepełna, wszak gdyby nie Jan Maszkowski, nie byłoby Juliusza Kossaka i ciężko chorego piewcy naszych narodowych tragedii, Grottgera. Lecz nawet jego do ostatnich dni nie opuszczała nadzieja. I humor, będący jej widowym przejawem. Nawet on wierzył do końca, więc był pogodny, i taka była też jego sztuka: spokojna i klasyczna w swej urodzie, na przekór przedstawianym scenom, boć przecie *non omnis moriar*. Nie wszystek umrę, a przeżyje to co najcenniejsze, bo nieśmiertelne.

Lwowscy artyści... Dowcipny nawet w bizantyńskim hieratyzmie Rosen, i wytworny we wszystkim, co czynił, malarz pięknych dam, lecz i kosmatych Huculów Axentowicz, i Sichulski, zwany dla swego temperamentu „nieokiełznanym”, i tylu jeszcze innych, których wystawiający dziś swe dzieła są godnymi następcami i kontynuatorami.

Gdyż tylko to ich łączy: lwowski temperament i optymizm, przełożony na język plastycznych znaków, na pulsujący pogodnym światłem koloryt obrazów Joniaka i romantyczny światłocien fotografów Łagockiego i Plewińskiego, dynamika kompozycji Skuliczka i werwa obrazów Berdaka, i dzieła małżeństwa Wajdów i rodzeństwa Macedońskich, i Eugeniusza Wańka i... wszystkich i każdego z osobna. Tych, którzy już razem wystawiają, i tych, którzy do nich dołączają, bo taka wystawa powinna mieć swą kontynuację.

Zaś w lwowskim języku „powinna” – znaczy – będzie miała. I szlus.

SYLWETKI

BODO

Przedwojennego amanta filmowego i rewiowo-kabaretowego Eugeniusza Bodo pamiętają oczywiście starsi Czytelnicy z lat przedwojennych, młodszy zaś z dość częstych prezentacji starych filmów w TV. Zawsze na ekranie wesoły, szeroko uśmiechnięty, był ulubieńcem publiczności.

Nazywał się naprawdę Eugeniusz Bogdan Junod, był synem Szwajcara, urodził się w Genewie w 1899 r. (miałby dziś 102 lata!). Wychował się w Łodzi, lata międzywojenne to Warszawa, a z wybuchem wojny w 1939 r. – Lwów. Czy coś go łączyło z tym miastem?

Matka Eugeniusza, Anna Dorota, nazywała się z domu Dylewska (od imion *Bogdan-Dorota* powstał pseudonim aktora). Przypomnijmy, że na szczycie góry Kadeckiej była ulica Dylewskich, a grunty w okolicy należały do tej rodziny (dziadek piszącego te słowa wybudował z początkiem XX wieku swój dom przy ul. Kosynierskiej na parceli odkupionej od Dylewskich – opo-



wiała mi to w latach sześćdziesiątych wiekowa p. Dylewska, spotkana we Wrocławiu). Czy to ta sama rodzina? Może ktoś wie i napisze?

Istniały różne wersje co do czasu, miejsca i okoliczności śmierci Eugeniusza Bodo. Najliczniejsze sytuowały ją we Lwowie w latach 1941–42. Prawda okazała się inna: sowieci uchodząc ze Lwowa w 1941 r., zabrali go ze sobą do Moskwy. Osadzono go jednak w więzieniu na Butyrkach, a w końcu dostał się do łagru koło Archangielska. Tam, wycieńczony i złamany psychicznie, zmarł z końcem 1943 r. Mija od tego czasu 58 lat, a miał ich 44.

O historii życia i męczeństwa Eugeniusza Bodo nakręcono film pod tytułem *Za winy niepopelnione*, pokazany przed paru laty w Telewizji Polskiej.

Maksymilian Jamnicki

JEDEN Z WIELU STROŃSKICH

W naszym kwartalniku już niejednokrotnie przedstawialiśmy intencję zebrania dziejów rodzin tym charakterystycznych dla naszej Ziemi, że wydały wielu znaczących ludzi świata nauki, literatury, sztuki, polityki, wojskowości, Kościoła – ale nikt o nich dotąd nie opowiedział jako o całych familiach, nie licząc biografii poszczególnych ich przedstawicieli. W CL pisaliśmy o Hausnerach, napomknęliśmy o paru innych rodzinach. Jednak ciągle na opracowanie czekają sagi rodzin Strońskich, Łomnickich, Longchamps (czy Dylewskich, o których mowa wyżej), a także sporo zasłużonych rodzin ziemiańskich – jak Badeniowie, Wolańscy, Komorowscy. Ostatnio wydano historię rodu Dzie duszyckich, ale tylko jednej linii (i to nie tej, z której pochodzi nasz „pan Tunio”).

Nazwisko Strońskich przewija się przez dzieje Lwowa i Małopolski Wschodniej – od Tarnopola po Przemyśl – nieustannie, od paru wieków, aż do dziś (teraz po tej i po tamtej stronie kordonu). Może ktoś już o nich pisał albo właśnie pisze? Bylibyśmy wdzięczni za taką wiadomość.

Na dobry początek przedstawiamy krótką informację o malarzu, wyjętą z recenzji Ignacego Witza z okazji wystawy twórczości

artysty (chyba w Przemyślu) w 1968 r., a opublikowanej w pracy zbiorowej pt. *Z dziejów kultury i literatury Ziemi Przemyskiej* (pod red. S. Kratochwil-Kostrzewskiej, Przemyśl 1973).

Marian Stroński urodził się w 1892 r. w Tarnopolu. Studia artystyczne odbył w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych – był tam uczniem T. Axentowicza i J. Pankiewicza – oraz na akademii wiedeńskiej, a nieco później uzupełniał je przez 3 lata w Paryżu. Wystawiał w Warszawie, Lwowie i Łodzi.

Po II wojnie zorganizował w Przemyślu Szkołę Rysunku i Malarstwa, potem przemianowaną na Ognisko Kultury Plastycznej, którego był dyrektorem. Jego osobista twórczość obejmowała liczne polichromie ścienne, głównie w kościołach Małopolski, malarstwo sztalugowe – przeważnie pejzaże (także marynistyczne). Malarstwo to było zrazu utrzymane w zachowawczych konwencjach, ale w pewnym momencie – w latach pięćdziesiątych – zerwał z przeszłością i dokonał zadziwiającej metamorfozy. Jak pisze Witz –

... buduje swoje własne, bardzo niezależne malarstwo, równocześnie wyraziście współczesne i osobiste. Stanie teraz na granicy sztuki posługującej się kształtami aluzyjnymi i metaforycznymi, które w dalekich reminiscencjach mają w sobie coś z kubistycznej, orfickiej morfologii. [...] Zawiera w każdym ze swych obrazów wiele podtekstów natury, każe się ich domyślać, i co najdziwniejsze, domyślamy się w jej kolorach przenikających się w świetle organizującym wszystko nieomal, w rytmach niezmiennie uporządkowanych i czasem zamącanym ekspresyjnym nieoczekiwanym elementem. Działa wszystkim: szlachetnością materii, daleką aluzją, a przede wszystkim tym, że te obrazy są właściwie do malarstwa, jakie znamy, niepodobne, a zarazem w swej problematyce, w ogólnej – to znaczy ludzkiej, i szczególnie – to znaczy malarskiej, jakieś bardzo z drugiej połowy wieku dwudziestego wyrosłe.

Życie Mariana Strońskiego zamknęło się między dwoma miastami: Tarnopolem i Przemyślem. Zauważyliśmy, że dziś w Tarnopolu żyje i działa prof. Henryk Stroński, prezes tamtejszego Towarzystwa Oświaty i Kultury

Polskiej. Do swoich przemyskich korzeni natomiast przyznaje się reporterka i publicystka Anna Strońska (dziś w Warszawie), zainteresowana i dobrze zorientowana w problematyce polsko-ukraińskiej. W 1998 r. wyszła jej książka *Dopóki milczy Ukraina*. Książkę tę niebawem omówimy na naszych łamach.

Karol Odrycki

Z TAMTEJ STRONY

DZIWNA ZGODNOŚĆ

Równoległe z arcybiskupem łańciskim Lwowa, godnością kardynalską obdarzony został ostatnio nowy arcybiskup grekokatolicki we Lwowie. Jest nim Lubomir Huzar, dotychczasowy biskup, który kardynałem został mianowany zaledwie w 3 dni po zatwierdzeniu go przez Ojca Św. na stanowisko arcybiskupa świętojurskiego. Nie ma wątpliwości, że ta błyskawiczna nominacja ma związek z zapowiedzianą wizytą Jana Pawła II na Ukrainie i we Lwowie,

Warto zwrócić uwagę, że L. Huzar jest związany z zakonem studytów, postrzegającym dotychczas jako zorientowany bardziej na prawosławny wschód niż katolicki zachód. Wiemy nie od dziś o naciskach Cerkwi prawosławnej na „odłączoną” od prawosławia Cerkiew unicką w kwestii powrotu tej ostatniej na łono prawosławia. Wiemy też, że część kleru i hierarchów grekokatolickich temu sprzyja – poczyniono zresztą już pewne kroki w tym kierunku, m.in. usuwając wiele obrzędów i form liturgicznych, które unicy przejęli w ciągu ubiegłych 400 lat z rytu łańciskiego.

W wywiadzie udzielonym przed paroma laty (1998) czasopismu archidiecezji lwowskiej obrz. łac. „Radość Wiary” biskup Huzar zauważył, że *Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie powinien być ukraiński*. Jako

Ukraińca można go zrozumieć – dba o swoje, ale dlaczego biskupi naszego Kościoła, uratowanego tam wszak przez Polaków, próbują to realizować z takim zapałem? Dalekosiężne rachuby bowiem wydają się czytelne: *po „powrocie” Cerkwi unickiej do prawosławia kościół rzymskokatolicki będzie następny „do odstrzału”. Zukrainizowani przy pomocy swego Kościoła Polacy przejdą z czasem na wyznania panujące w tamtym państwie – to zupełnie naturalne, przez małżeństwa, nacisk otoczenia, bliskość cerkwi (kościółów jest wszak dużo mniej). Dziś powstrzymuje ich przed tym polska świadomość narodowa.*

Argumenty polskich nadgorliwców są znane:

1. *Polacy na Ukrainie coraz mniej znają język polski.* To nie całkiem prawda: nie zna średnie pokolenie. Trzeba więc wspólnymi siłami pomagać młodzieży i dzieciom w doskonaleniu tego języka, tak jak to czyniono w pierwszych latach po zmianach politycznych. W wielu miejscowościach rezultaty są bardzo dobre. Warto zaznaczyć, że konwencje międzynarodowe gwarantują prawo do tego, a Polska nie czyni żadnych trudności Ukraińcom w RP w tym względzie.

2. Do kościołów rzymskokatolickich przychodzą pewne grupy prawosławnych i grekokatolików. A dlaczego? Jakaś część na pewno z przekonania, ale są i inne motywacje: *bo msza krótsza i w kościele mniej gadają o polityce.* Czy jednak tacy mają być przyszłością Kościoła rzymskokatolickiego za wschodnią granicą? Bo przecież o „masówce” i tak nie może być mowy.

Elżbieta Mokrzyńska

A MIAŁ BYĆ ROZKWIT

Nie od dziś zachęcamy naszych Czytelników, by zainteresowali się różowymi kartkami, czyli sobotnim dodatkiem do „Rzeczpospolitej” pt. + *Plus – Minus*. W każdym numerze znajdujemy ciekawe teksty na różne tematy, także z dziedzin szczególnie nas interesujących.

W nrze 17/01 ukazał się artykuł Igora Klecha, pisarza rosyjskiego – jak sam pisze – o korzeniach ukraińskich, polskich i litewskich. Artykuł nosi tytuł: *Galicja w ciemnościach* i dotyczy sytuacji kultury

w tej obecnej prowincji państwa Ukraina. Autor pisze: [...] „*Hałyuczyna*” rustykalizuje się. W połowie lat 90. stwierdzenie, że Lwów zmienił się w największą z zachodnioukraińskich wsi, uważano za złośliwy paradoks. Dziś powtarzają je rubryki humoru w miejscowych gazetach. Miasta, w których dogorywają fabryki i uczelnie, rozrasta się pasożytnicza warstwa niewykwalifikowanych urzędników, a wynoszą się najenergiczniejsi, najzdolniejsi ludzie, czeka nieuchronny upadek. Z braku energii miasta Ukrainy pogrążone są w ciemnościach (wszędzie poza stolicą wyłącza się prąd); gospodarka komunalna, transport, zielen miejska – wszystko to nieodwołalnie się degeneruje. Tymczasem ze sceny zeszyły (z powodu wieku) resztki starej miejskiej inteligencji, pamiętającej jeszcze czasy przedsowietckie [podkreślenie nasze], niedościgniony wzór dla ludzi z awansu. Ci z perwersyjną satysfakcją powtarzają dowcip szefa lwowskiej administracji: „Wszyscy wyszliśmy ze wsi, ale wieś z nas nie wyszła”. [...] I dalej: *Z miast dzisiejszej Ukrainy Lwów jako pierwszy opnował niegdyś wynalazek Gutenberga [...]. Paradoksem jest, że pomimo wielu protekcyjnistycznych zabiegów w niepodległej Ukrainie wydaje się po ukraińsku mniej niż przedtem, najwyżej dziesięć procent wszystkich druków. Jedynie w Galicji proporcje są odwrotne.*

Klech wymienia licznych ludzi kultury (ukraińskiej oczywiście), którzy uciekli ze Lwowa do Kijowa, gdzie – jak to w stolicy – jeszcze się coś dzieje. Uciekają też za granicę.

Natomiast zauważa autor „fenomen Stanisławowa”, który w kulturze zdystansował Lwów, a pod pewnymi względami także Kijów.

Z ciekawostek dowiedzieliśmy się z artykułu Igora Klecha, że we Lwowie założyła Fundację im. Sacher-Masocha. Nasi Czytelnicy zapewne pamiętają, kto to był (z CL 3–4/95), ale przypominamy: znany pisarz austriacki XIX w., od którego pochodzi pojęcie *masochizm*. Urodził się we Lwowie jako syn polakożercy, szefa austriackiej policji. No cóż, jak się nie ma lepszych patronów...

Marek Wenecki

W Stanisławowie i Kołomyi obchodzono uroczystości 175. rocznicę śmierci Franciszka Karpińskiego, wielkiego poety polskiego Oświecenia. Z jego utworami – jak rzadko z dziełami największych twórców – żyjemy niemal na co dzień: kolęda *Bóg się rodzi* należy do najpopularniejszych, a pieśni *Kiedy ranne wstają zorze i Wszystkie nasze dzienne sprawy* towarzyszyły nam przez lata nauki szkolnej.

Franciszek Karpiński (1741–1825), urodzony w Hołoskowie k. Ottyni na Pokuciu, przeżył dwie epoki: czasy stanisławowskie (nie od nazwy miasta, lecz od *króla Stasia* Poniatowskiego) oraz pierwsze dziesięciolecie porozbiorowe. Ostatnią część swego życia spędził w majątku Chorowszczyzna na Podlasiu (obecnie w państwie Białoruś), a pochowany został w pobliskim Łyskowie.

Rocznicowa uroczystość (październik 2000) miała się rozpocząć w farze stanisławowskiej, tam też miały się znaleźć dwie okolicznościowe wystawy. Jednak bystra administracja *iwano frankowska* na kilkanaście godzin przed otwarciem zdażyła ogłosić remont budowli i ustawić wewnątrz rusztowania. Imprezę przeniesiono więc do auli miejscowego uniwersytetu, którego rektor uratował w naszych oczach ową *iwano frankowską* kulturę, o której wyżej można przeczytać.

W licznych referatach mówiono oczywiście o Poezji i jego twórczości, prezentowano jego poezję i pieśni z jego słowami. Następnego dnia podobna – lecz na mniejszą skalę – uroczystość odbyła się w Kołomyi.

W wystąpieniach oficjalnych i komentarzach wiele mówiono o „lepszej współpracy współczesnych pokoleń”, o „wspólnych dziejach i spuściźnie”, o „wspólnej drodze do zjednoczonej Europy” itp., co pozostawało w niejkiej sprzeczności z wstępnymi wybrakami miejscowej administracji.

Na uroczystości przybyli przedstawiciele i zespoły artystyczne z wielu polskich środowisk Małopolski Wschodniej. Organizatorami obchodów byli prof. Ryszard Brykowski z ZK „Wspólnoty Polskiej” oraz p. Mariusz Olbromski – znakomity działacz na niwie pomocy Polakom za kordonem w dziedzinie kultury i oświaty.

Joanna Żółkiewska

◆ **Na papieża czekają przede wszystkim Polacy** mieszkający na Ukrainie, którzy w większości są katolikami. Polacy skarżą się jednak na ukrainizację Kościoła – pisze w artykule o zbliżającej się podróży Jana Pawła II na Ukrainę i do Lwowa w „Dzienniku Polskim” 69/01 Eugeniusz Tuzow-Lubański z Kijowa. – Polacy na Ukrainie zachowali wielki sentyment do języka polskiego w liturgii i nie ma parafii na Ukrainie, gdzie by wierni nie prosili kapłana o msze św. w języku polskim, ale niestety na Ukrainie mamy coraz więcej parafii, gdzie już słowa po polsku się nie usłyszy – cytuje słowa prezesa Związku Polaków na Ukrainie Stanisława Kosteckiego. Polacy wierzą, że wizyta papieża pozwoli zmienić tę sytuację.

◆ Do kilku już istniejących specjalistycznych organizacji polskich w państwie Ukraina (zarejestrowanych) doszła w ub. roku kolejna: **Stowarzyszenie Uczonych Polских nU.** (SUPU). Zrzesza ono Polaków, niestety niezbyt licznych, pracujących na tamtejszych wyższych uczelniach. Swoje placówki ma SUPU w 13 ośrodkach Ukrainy właściwej i Tarnopolu (3 następne mają powstać, a jedna chce się odseparować. Wśród ośrodków nie ma Lwowa, Stanisławowa, Czerniowiec). Prezesem zarządu jest dr hab. Henryk Stroński.

W listopadzie 2000 r. odbyła się w Tarnopolu konferencja Stowarzyszenia pod hasłem: *SUPU wobec problemów kultywowania tożsamości narodowej Polaków na Ukrainie*. Jako główne zagadnienia zasygnalizowano kwestię deklarowania narodowości polskiej w zbliżającym się spisie ludności w tym państwie. W 1989 r. do polskości przyznało się 219 tys. obywateli – wobec liczby Polaków ocenianej na 2 miliony! Jest to problem *być albo nie być* dla tzw. mniejszości polskiej.

Innymi zagadnieniami, jakie powinny leżeć w centrum zainteresowania naukowców polskich są: ● z jednej strony postępujący proces ukrainizacji Polaków (równoległe z równie postępującym procesem *r u s y f i k a c j i* Ukraińców, zwłaszcza we wschodniej części tego państwa), ● z drugiej strony malejące zainteresowanie w RP sprawami Polaków na Wschodzie.

POLACY z POLAKAMI

Do zapamiętania

◆ W roku 2000 Oddział Krakowski TMLiKPW (wraz ze swymi Kołami Regionalnymi) w ramach akcji charytatywnej przekazał do Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Stryja i Zaleszczyk pomoc finansową w wysokości 4109 zł. Do Lwowa, Kamieńca Podolskiego, Stryja, Strzelczysk, Żółkwi, Żydaczowa i Żytomierza wysłano łącznie 44 worki odzieży. Do Lwowa, Kamieńca Podolskiego, Stryja, Turki i Żółkwi wysłano pewne ilości czekolady, konserw, oleju. Do Lwowa skierowano 3 worki leków różnych oraz zestawy dla niemowląt. Do wszystkich wymienionych miejscowości, a także do Złoczowa przekazano 122 paczki (po 200 egz.) bajek dla dzieci, 170 kg książek o różnej tematyce oraz (do przedszkoli lwowskich, do wspólnego użytku) 8 tomów materiałów dot. dydaktyki przedszkolnej.

Transport darów odbywał się w różnych formach i przy różnych okazjach.

Ofiarodawcami byli głównie członkowie OK TMLiKPW i sympatycy Towarzystwa, a także Wojewódzki Zarząd PCK w Krakowie oraz Przedszkola krakowskie nr 14, 65 i 178, których kierownictwa zaproponowały nawiązanie trwałych kontaktów z lwowskimi Przedszkolami nr 48, 131 i 181. Dla przypomnienia: w czterech oddziałach trzech przedszkoli we Lwowie jest w sumie ok. 100 dzieci.

Trzeba nadmienić, że krakowska „Wspólnota Polska” świadczy ze swojej strony pomoc dla lwowskich przedszkoli. Akcję pomocy w grudniu ub.r. ogłosił także „Dziennik Polski”.

◆ Na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie przebywa na rocznym stażu absolwent wydziału projektowania form wydawniczych lwowskiej Akademii Poligraficznej **Jarosław Sosnowski**. W marcu odbyło się w Klubie „Zaulek” spotkanie z artystą, który – jak powiedział – ceni sobie szansę zdobycia doświadczeń w krakowskiej uczelni, gdzie został dobrze przyjęty.

J. Sosnowski (o którym pisała w swoim artykule w CL 4/99 K. Grzegocka) mieszka i pracuje we Lwowie. Uprawia malarstwo sztalugowe, rysunek i grafikę. Ponadto jest aktorem Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie.

◆ W lutym przebywała w Krakowie – na zaproszenie Centrum Młodzieży im. H. Jordana – 15-osobowa **grupa nauczycieli z lwowskiej Szkoły Nr 24** im. M. Konopnickiej. Zwiedzano Kraków, oglądano sztukę Mrożka w teatrze pod Ratuszem, wysłuchano referatu dra A. Weyssenhoffa, dyrektora Centrum, o reformie szkolnictwa w RP oraz spotkano się z Panią Wiceprezydent T. Starmach.

W kilka tygodni później grupa młodzieży z tej samej szkoły przyjechała w okolice Krakowa na zaproszenie dyrektora Gimnazjum w Szarowie i LO w Wieliczce. Młodzież zwiedziła Kraków i Kopalnię Soli w Wieliczce, odwiedziła park wodny oraz zapoznała się z pracownią komputerową. Dla młodych lwowian i gospodarzy zorganizowano konkurs wiedzy o Lwowie i Krakowie – okazało się, że we Lwowie wiedzą więcej o Krakowie niż odwrotnie.

Oby jak najwięcej takich wymian.



Jarosław Sosnowski: Panorama (Krzemieniec, 1999)

W Krakowie i dalej

GENERAŁ SIKORSKI

W tym roku przypada 120. rocznica urodzin generała Władysława Eugeniusza Sikorskiego (1881). Urodził się w Mieleckiem – w latach międzywojennych było to województwo lwowskie – a gimnazjum i studia politechniczne ukończył we Lwowie (dyplom inżyniera budownictwa wodnego w 1908 r.). Już w czasie studiów związał się z organizacjami niepodległościowymi, stał się bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego. W październiku 1918 r. został mianowany szefem sztabu Komendy Polskiej w Przemyślu, która przejęła z rąk austriackich miejscową twierdzę.

Zaraz po rozpoczęciu walk o Lwów z Ukraińcami Sikorski był jednym z organizatorów odsieczy miasta. W 1920 r. objął dowództwo 5. armii, która powstrzymała nawałę bolszewicką w rejonie Modlina. Po zamordowaniu prez. Narutowicza powierzono mu urząd premiera i ministra spraw wewnętrznych, później spraw wojskowych. W latach 1924–28 był dowódcą Okręgu Korpusu we Lwowie (DOK VI). Odegrał wybitną rolę w uznaniu przez Radę Ambasadorów i Najwyższą Radę Koalicyjną polskiej granicy wschodniej, a także w powołaniu do życia Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP).

Po przewrocie majowym popadł w niełaskę obozu Piłsudskiego, nie został też dopuszczony do czynnej walki w kampanii 1939 r. Wyjechał do Francji i dopiero tam został przez prez. W. Raczkiewicza powołany na stanowisko naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych (po rezygnacji E. Rydza-Śmigłego). Jego dalsza działalność polityczna, wojskowa i dyplomatyczna zyskała mu absolutny autorytet wśród emigracji i w kraju. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, w lipcu 1941 r. zawarł z rządem sowieckim układ normujący stosunki dwustronne i określający zasady tworzenia armii polskiej w ZSRR. 4 lipca 1943 r.



Gen. Władysław Sikorski w karykaturze Czermańskiego. Z albumu „Mars w karykaturze. Album pamiątkowe D.O.K. VI.” (Lwów, 1925)

zginął w katastrofie lotniczej koło Gibraltaru.

Ostatnio polski historyk emigracyjny Jan Ciechanowski przywiózł z Londynu dokumenty, które wskazują, iż śmierć Sikorskiego była wynikiem zamachu ze strony sowieckiej.

Kazimierz Selda

Notatki

◆ Dwa kolejne dni marcowe (20–21) zostały w Krakowie poświęcone lwowskim Sługom Bożym, których beatyfikacja jest spodziewana w najbliższym czasie.

W kolejną (78.) rocznicę śmierci **abpa Józefa Bilczewskiego** odbyła się doroczna msza św., tym razem w kościele oo. Franciszkanów. Odprawił ją, w zastępstwie nieobecnego ks. kardynała F. Macharskiego, ks. kanclerz lwowskiej Kurii Metropolitalnej Marian Buczek, koncelebrowali o. płk. Adam Studziniński, ks. dr Józef Wolczański oraz ks. dr Franciszek Ślusarczyk (wicedyrektor krakowskiego Seminarium Duchownego), który wygłosił homilię. Śpiewał Chór Cecyliński.

Następnego dnia, na comiesięcznym spotkaniu lwowian w kapitulacji oo. Dominikanów, siostry Józefity zorganizowały wieczór poświęcony **ks. Zygmuntowi Gorazdowskiemu**. Prowadziła s. Dolores Siuta,

wypowiadało się kilka osób, a śpiewały nowicjuszki z domu zakonnego w Kluczborku.

Dokładniejsze materiały z obu okazji zamieścimy w następnym numerze CL.

◆ W CL 4/2000 informowaliśmy o wyróżnieniu, jakie spotkało **dra Tadeusza Krzyżewskiego**, nestora polskich specjalistów reklamy i autora pionierskiej książki na ten temat w języku polskim. I oto nowa miła wiadomość: na Ogólnopolskim i Międzynarodowym Festiwalu Reklamy dr Krzyżewski otrzymał Honorowego Tytana '2001 (przyznanego po raz pierwszy). Gratulujemy!

Tadeusz Krzyżewski jest jedynym żyjącym członkiem Zarządu Miasta Lwowa.

◆ „**Krakowianką Roku**” została dr med. Maria Kopczyńska-Kowalczyk, lekarz-radiolog w krakowskim Centrum Onkologii. Jej szczególne zasługi wiążą się z tak ważną dziś dziedziną jak wczesne wykrywanie raka piersi oraz profilaktyka. Serdecznie gratulujemy Pani Doktor zasłużonego wyróżnienia. Życzymy dalszej owocnej pracy w dziele ratowania zdrowia i życia kobiet zagrożonych okrutną chorobą.

Maria Kopczyńska urodziła się w Tarnopolu. Jej rodzina była związana ze Lwowem: dziadek Kopczyński był prawnikiem i mieszkał przy ul. Leona Sapiehy, ojciec zaś zarządzał majątkami w Tarnopolskiem. Ostatnio dr Kowalczykowa ofiarowała dla tarnopolskich Polaków okazały zbiór książek, w tym ok. 50 albumów sztuki i krajoznawczych.

◆ Komisja Nazewnictwa Międzynarodowej Unii Astronomicznej nadała **imię Stefana Banacha** planetoidzie odkrytej przed czterema laty i oznaczonej symbolem 1997YE8.

S. Banach (1892–1945) był profesorem UJK we Lwowie, współtwórcą lwowskiej szkoły matematycznej. Spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim. Przed dwoma laty odsłonięto w Krakowie przy ul. Reymonta pomnik wielkiego matematyka. Donosiliśmy w CL 4/99, a zdjęcie pokazaliśmy w poprzednim numerze.

◆ W nowym roku akademickim 2001/02 powstanie na krakowskiej Akademii Pedagogicznej, w Instytucie Filologii Rosyjskiej, nowy kierunek: **język rusińsko-łemkowski**.

Przewiduje się 15 miejsc, a prowadzona będzie praktyczna nauka języka, literatury oraz wiedzy o historii i kulturze tego obszaru językowego.

Przypomnijmy, że na UJ istnieje ukrainistyka. Natomiast na uniwersytecie we Lwowie polonistyki nie ma.

◆ O skandalicznych manipulacjach władz polskich (wszelkiej maści) w sprawie rekompensat za utracone tzw. **mienie zabużańskie**, pisze w „Dzienniku Polskim” 69/01 Leszek Reguła.

KULTURA NAUKA

FOTOGRAFIA TEATRU – – TEATR FOTOGRAFII

W Krakowie pokazano w marcu/kwietniu twórczość fotograficzną Aleksego Jutina, Rosjanina (urodzonego w Petersburgu w 1940 r.), który od kilkadziesiąt lat żyje we Lwowie, a od 32 lat jest *nadwornym* fotografem tamtejszego Teatru Polskiego.

Znamienne, że ten Rosjanin z narodowości, przybyły do Lwowa w czasach, gdy polskość została z tego miasta wygnana i systematycznie jest od półwiecza zacieraana, gdzie panują obce języki i obce obyczaje,



doskonale wyczuł to, czego ze Lwowa usunąć się nie da: ducha tej polskości, którym tchnie każdy kamień. Ów dorastający we Lwowie przybysz z *dalekiego kraju* zorientował się doskonale, gdzie – zapewne nie z własnej inicjatywy – się znalazł. W swojej działalności zawodowo-artystycznej związał się przeto Jutin ze środowiskiem polskim, nielicznym wszak, zepchniętym na margines życia miasta-molocha (takim jest dzisiejszy Lwów), ale w tamtym krajobrazie najbardziej naturalnym, autentycznym. Nie jest zresztą Jutin jedynym przedstawicielem napływowej ludności – jej bardziej wrażliwej warstwy – który w taki sposób odebrał ducha Lwowa.

Urządzono dwie równoległe wystawy zdjęć Jutina. Pierwsza, obszerniejsza, w Galerii Domu Polonii „Wspólnoty Polskiej”, dotyczyła właśnie Teatru, druga – przedstawiająca osobistą twórczość fotografika – znalazła się w Mini-Galerii Śródmiejskiego Ośrodka Kultury. Obie wystawy zostały otwarte tego samego dnia (z półtoragodzinnym przesunięciem) i obie zaprezentował prof. Zbigniew Łagocki (z ASP w Krakowie, lecz urodzony lwowianin), który znakomicie scharakteryzował równoległe nurty twórczości Jutina. Na otwarcie przybyła Pani Wiceprezydent Krakowa Teresa Starmach i wielu fotografików krakowskich (wśród nich Adam Bujak i Wojciech Plewiński). Ze Lwowa przyjechała dyrekcja Teatru Polskiego: Zbigniew Chrzanowski i Walery Bortiakow oraz aktorki Jolanta Martynowicz i Krystyna Grzegocka. Martynowicz i Chrzanowski odegrali scenę z „Wesela” Wyspiańskiego, które kiedyś było wielkim sukcesem lwowskiego Teatru.

Tytuł niniejszego omówienia oddaje istotę dwóch nurtów twórczości Aleksego Jutina: *fotografia teatru* to rzecz jednoznaczna, natomiast do drugiego nurtu doskonale pasuje odwrócenie tych słów: *teatr fotografii*. Wyjaśnia to Z. Łagocki w folderku wystawy w ŚOK:

Fascynująca jest wyobraźnia Alexeya Jutina. Wykreowana rzeczywistość, w której rozgrywają się przedziwne wydarzenia – pełne metafor, poetyki, teatralnych gestów, bajkowych sytuacji. Podczas gdy wokół tyle okrucieństw, brutalności, wulgarności i prostactwa, Alexey nie waha się przed pokazaniem nam prawdy swoich marzeń, swojej

wyobraźni, tworząc wizję pełną tajemnic, niedopowiedzeń, wieloznaczności sytuacji – pogodną i pełną humoru.

Alexey Jutin fotografuje Teatr Polski we Lwowie – i nie wiem czy ta praca w teatrze spowodowała, że wszędzie go widzi, czy też fotografuje teatr, ponieważ to Jego metafora świata.

Liryka zdjęć Alexeya jest przewrotna, dostrzega ją bowiem w sytuacjach, w których trudno jej szukać. Piękną dziewczynę ukazuje nie na łące pełnej kwiatów, ale w na pół zrujnowanym wnętrzu. Zdewastowana ulica czy fragment opuszczonego domu stają się w Jego ujęciu fragmentem baśniowej rzeczywistości. Elementem niezwykle wesołym w fotografiach Alexeya Jutina są ludzkie postacie. Dopiero one nadają zdjęciom właściwy sens. To zderzenie delikatnej „tkanki ludzkiej” i szorstkiej rzeczywistości ukazywanego otoczenia wywołuje u odbiorcy napięcie emocjonalne.

Najbardziej wartościowe w twórczości Alexeya Jutina nie są ani warsztat fotograficzny, ani efekty poszukiwań sensacji i dramatyczności – ale Jego wrażliwość i wyobraźnia, kreująca sytuacje pełne uroku, poezji i bajkowego czaru.

Maria Klara Bohomolec

MŁODZIEŻ SĄDECKA W RUDKACH

W tym roku mija 125. rocznica śmierci Aleksandra Fredry, wielkiego komediopisarza i lwowianina. Z tej okazji przedstawiamy relację dra Jerzego Masióra – nieocenionego propagatora dziejów i kultury polskiej Lwowa (szeroko rozumianego) głównie wśród młodzieży – z wizyty młodych sądeczan we Fredrowskich Rudkach.

Rudki leżą na szlakach wędrówek młodzieży z IV LO z Nowego Sącza po Kresach. Zazwyczaj wcześniej zwiedza się Lwów, Olesko, Krzemieniec, czasem Zbaraż, Tarnopol, Drohobycz, a niekiedy jeszcze Stare Siolo, Chodorów, Żydaczów. Wszystko to zależy od czasu i funduszy.

Niekiedy młodzież z tego szczególnego liceum sądeckiego zapędza się także na

Kresy północne – śladami Adama Mickiewicza. Zawsze pod wodzą swojego dyrektora mgra Bogusława Kołcza, wytrawnego humanisty i polonisty, wiodącego swych uczniów śladami polskiej kultury i jej wybitnych kresowych przedstawicieli.

Stąd Rudki na szlaku tych wędrówek. Docieramy tam zazwyczaj na końcu, a więc już dostatecznie nasiąknięci klimatem Ziemi i dowodami na to, jak wiele, co dziś pulsuje w kulturze polskiej – zwłaszcza w jej literaturze – ma tamtejsze rodowody. Każdego roku młodzież bywa tu po raz pierwszy, a my przekazując historię Ziemi i ludzi, bacznie obserwujemy młodych: jak słuchają, jak patrzą, jak w końcu „dotykają” tego co tu polskie, co świadczy o przeszłości dobitnie, a co tli się zaledwie. Ich reakcje na to, co tu zastają, są dla nas ważne, bo będąc nauczycielami tych lekcji na żywo – uczymy się sami, jak mówić, jak pokazywać, by zasiewać w młodych umysłach p a m i ę ć . Przecież te dojrzewające umysły są jeszcze świeże i chłonne.

Na Rudkach zależy nam szczególnie, bo tu jak w zwierciadle odbija się całe tamto współczesne państwo – z jego ekonomiczną zapaścią także na wsi, i z losem polskich zabytków, nawet tak znaczących jak świątynia, w której spoczywają doczesne szczątki Aleksandra Fredry.

Rudki to obecnie ni wieś, ni miasteczko. Można tam dojechać z różnych stron, zarówno od A4, czyli głównej trasy ze Lwowa do Medyki, jak i od Drohobycza. W centrum miasteczka wznoszą się mury świątyń, w tym wzniesionej ostatnio nowej cerkwi, oraz ładnie położony na niewielkim wzniesieniu kościół rzymskokatolicki z kaplicą Fredrów i wolnostojącą barokową dzwonicą (popadającą do niedawna w ruinę, na której gzymsach panoszyła się już bujna roślinność, ale wreszcie z trudem poddana renowacji).

Oddajmy jednak głos uczniom, bo wydaje mi się, że jest to sprawa najważniejsza. Zachowuję dosłowność i stylistykę (przymrużmy na nią oko) – treść tu się liczy przede wszystkim.

Dzień spędzony w Rudkach był bardzo pouczający. Uświadomiłam sobie, jak zapomniany został Fredry. Na grobie Fredry leżą wieńce od IV LO. ... Tamtejszy ksiądz

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

BORSZCZÓW

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. tarnopolskim, położone przy linii kolejowej (Tarnopol–, Stanisławów–) Wygnanka – Iwanie Puste, blisko dawnej granicy rosyjskiej. Leży w lewym dorzeczu Dniestru, między rzekami Nieczławą a Zbruczem (zob. CL 2/2000). W okresie międzywojennym liczyło ponad 5 tys. mieszkańców. Parafie obu obrządków katolickich na miejscu.

Historia. Pierwsza znana wzmianka historyczna pochodzi z r. 1620, kiedy to Jerzy Dydyński h. Gozdawa nabył wieś Borszczów od Budzyńskich. Na jego prośbę król Zygmunt III nadał Borszczowowi w 1629 r. prawo magdeburskie. Parafię rzym.kat. ufundował w 1663 r. Marcin Piotr Dydyński. W 1780 r. Dydyńscy sprzedali Borszczów Sadowskiemu (imię nieznane). Pod koniec XVIII w. miasto słynęło z wyrobu prostych sukien. W pocz. XIX w. były tu cztery cechy rzemieślnicze: sukienników, szewców, tkaczy, do którego należeli też kuśnierze, oraz krawców wspólnie z garnarczami. Odbywały się tu słynne jarmarki na bydło. Jeszcze w połowie stulecia, kiedy właścicielami Borszczowa byli Geringerowie, miejscowość wyglądała bardziej na



mieszka w opłakanych warunkach. Jest mu ciężko. Nie rozumiem, dlaczego Polacy zapominają o swoim najwybitniejszym komediopisarzu ...

Co tam zobaczyłam, wydało mi się opuszczone i zaniedbane. ...

Wydaje mi się, że Rudki zupełnie nie pasują do Fredry, że powinien być pochowany w miejscu bardziej dla niego godnym.

Dobrze, że istnieją w świecie takie miejsca, które przypominają nam, że Polska nie zawsze mieściła się w tych samych granicach ...

... stary, skromny kościółek, obok niego dzwonnica, której już dość dawno przydałby się gruntowny remont, oraz dom, a właściwie ruiny domu, w których, jak się później okazało mieszka proboszcz tamtejszej parafii.

... rzeczywiście byliśmy i n n i pośród tej masy ludzi, która wyległa z kościoła, a przecież tak jak oni byliśmy Polakami.

... sam ksiądz powiedział, że prócz naszej szkoły nikt tu nie przyjeżdża.

Grób pisarza ozdobiliśmy zielonym wieniec, jakże innym od tej całej szarości, która go otacza. Wielki Polak jest samotny w krypcie, w ścianach zimnego kościoła. ... Polacy podziwiają jego dzieła, jednak nawet nie wiedzą, gdzie spoczywa.

Wielką atrakcją był widok kości ludzkich wykopanych z podziemi kościoła.

Msze są tam odprawiane w języku polskim, może to jedno w jakiś sposób umiła odpoczynek w wieczności Fredrze.

Moim zdaniem póki kości Polaka spoczywają tam, na ziemi ukraińskiej [sic!], polskość nie zaginie. Teraz gdy będę przeobrażać utwór Fredry, myślami sięgnę do miejsca jego spoczynku, do małych Rudek.

Zdziwiło mnie, że nikt prócz naszej grupy nie odwiedził grobu Fredry, choć był to rok, w którym była obchodzona rocznica jego śmierci.

Grób był brudny. Na pokrywie znajdowała się flaga polska, obrazek Jana Pawła II oraz kilka sztucznych kwiatków. Położyliśmy szarfę z napisem świadczącym o naszym tu pobycie. Oglądaliśmy jeszcze kości przodków Fredry i wyszliśmy z piwnicy.

Ogromne wrażenie zrobił na mnie jego grobowiec, chociaż był bardzo podobny do innych, to jednak pozostawił w sobie jakąś wielkość, wyniosłość, tajemnicę.

Szczególnie zapadło w mej pamięci poświęcenie, z jakim proboszcz tamtejszej parafii pełni funkcję „stróża polskości”.

Tyle młodzież. Pisane to było w formie kartkówki w kilka dni po powrocie z wycieczki, a więc wrażenia jeszcze ciepłe, jeszcze nie poszufladkowane, nasączone emocjami, o które na pewno i w Rudkach, i na całej tamtej Ziemi nietrudno, zwłaszcza gdy chodzi się tam polskimi śladami: nad zapadającą się mogiłą z polskim nazwiskiem, przed idącym w ruinę kościołem czy nawet zamkiem, przed figurą, której utracono głowę po to tylko, by w zaślepieniu niszczyć – bo rzeźbiarz nie miał przodków na Sycy.

Znam wypracowania młodzieży z innych odcinków naszej podróży, w tym ze Lwowa. Wszędzie dostrzegali to, co dostrzec powinni, niczego nie podpowiadaliśmy, chcąc by było to ich autentyczne świadectwo, ich kresowe doświadczenie. Myślę, że zapiski młodzieży układają się dość zgodnie, gdy opisują stan materialny Rudek. Rzeczywiście jest on zły. Autorzy odnowienia kaplicy i krypty Fredrów jakby na tym poprzestali. A przecież ta kaplica należy do tej samej kresowej świątyni, która jest zawilgocona, z odpadającymi tynkami, choć w czasie nabożeństw modlitewnie rozkołysana. Wierni nie zawsze używają języka polskiego, ale do katolicyzmu i do swojego proboszcza chętnie się przyznają.

Refleksja nad naszymi Kresami i nad obecnością tam naszej młodzieży jest jedna i niepodważalna: nie ustrzeżemy tej ziemi od zapomnienia, jeżeli będzie to tylko pamięć podręcznikowa. Na dodatek nie znam podręcznika historii, obiegowego dziś w szkołach, który rzetelnie opisywałby dzieje wschodnich obszarów I i II Rzeczypospolitej i ten czas, który nie skąpił nam nie tylko bitew w jej obronie tam stoczonych, lecz także tam zrodzonych wodzów, wieszczów narodowych największych i innych, którzy w sposób monumentalny zaważyli, że jesteśmy tacy jacy jesteśmy. Jedna z uczennic, która ubiegłego roku była we Lwowie i na Wołyniu, opisała swoje wrażenia lapidarnie: *gdybyśmy tam nadal byli, to ziemia ta wyglądałaby inaczej...* Jakże ważne słowa zapisała ta 16-letnia dziewczyna. Który to już raz zadumałem się nad Jałtą...

Jerzy Masior
Nowy Sącz, w lutym 1998

Kronika

◆ W lutym dość nieoczekiwanie otwarto w krakowskiej galerii Rostworowskiego (współ z galerią w Będzinie) wystawę obrazów **lwowskiego malarza Romana Sielskiego** (1903–90). Sielski był przed wojną członkiem grupy „artés” (tak, małą literą!), która zawiązała się w r. 1929 i trwała przez kilka lat. Pierwszym prezesem był właśnie R. Sielski, dziś całkiem w Polsce zapomniany, bo po wojnie pozostał we Lwowie i związał się z kręgami nienaszej kultury. Swoje studia malarskie rozpoczął we Lwowie, kontynuował na ASP w Krakowie, edukację dopełnił w Paryżu. Jego mistrzami byli Pankiewicz – duchowy ojciec kapistów, Sichulski oraz Fernand Leger.

Prezentowane na wystawie obrazy pochodzą z powojennego, niepolskiego okresu twórczości Sielskiego (podpisane cyrylicą). Artysta działał we Lwowie jako pedagog na uczelni artystycznej (wspominała o nim w swoim artykule w CL 4/99 Krystyna Grzegocka, zamieściliśmy tam też reprodukcję jego przedwojennego obrazu).

Przy okazji warto wspomnieć, że grupę „artés” omawia książka Piotra Łukaszewicza *Zrzeszenie Artystów Plastyków Artes 1929–1935* (wyd. Ossolineum, 1975). Do grupy należeli: Otto Hahn, Jerzy Janisch, Aleksander Krzywobłocki, Ludwik Lille, Aleksander Riemer, Roman Sielski, Margit (Reichówna) Sielska, Ludwik Tyrowicz, Marek Włodarski (wł. Henryk Streng), Stefan i Tadeusz Wojciechowscy, Mieczysław Wysociki i okresowo kilka innych osób.

◆ Pan **Wojciech Dzieduszycki** został doktorem *honoris causa* Akademii Muzycznej we Wrocławiu.

◆ W marcu br. mija **10. rocznica rozpoczęcia akcji inwentaryzacji kościołów** w Małopolsce Wschodniej, prowadzona przez Instytut Historii Sztuki UJ oraz krakowskie Koło Studentów Historii Sztuki, pod kierownictwem prof. Jana Ostrowskiego, zarazem dyrektora Wawelu. W naszym kwartalniku corocznie relacjonujemy postępy prac, a także ukazywanie się kolejnych tomów *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich (...)*, w których publikowane są efekty akcji inwenta-

wień niż na miasto. Z zakładów przemysłowych pracowała tu gorzelnia, która w 1854 r. wyrabiała 1000 wiader wódki, i browar, który dostarczał 2150 wiader piwa. W 1860 r. produkcja gorzelnii obniżyła się o 1/3, a browar był już zamknięty. Przez pewien czas czynna tu była papiernia, która przerabiała szmaty, produkując 100 bel papieru.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Trójcy Św., murowany, wybudowany w 1763 r. Lochy podziemne, pozostałość po nieistniejącym zamku obronnym.

Czasy obecne. Kościół czynny bez przerwy, na nabożeństwach bywa tu około 130 osób. W 1992 r. zbudowano nową plebanię, gdyż nie odzyskano dawnej. Parafię prowadzą oo. michalicy, którzy obsługują również kilka innych kościołów, w tym w Zaleszczykach. Proboszczem jest obecnie ks. Adam Gašior.

Według spisu z 1989 r. zarejestrowanych było tu ok. 100 Polaków.

DOLINA

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. stanisławowskim, położone nad potokami Tarzanką i Siwką, dopływami Świcy (zob. CL 2/2000), na wys. 438 m n.p.m. Leży o 3 km od linii kolejowej Stanisławów – Stryj (odpowiednio 71 i 7 km). W okresie międzywojennym Dolina liczyła blisko 9000 mieszkańców. Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu. Pracowały tu tartaki i warzelnia soli. Odbывały się tradycyjne jarmarki na bydło.

Historia. Dolina należała do majątków królewskich. Data nadania praw miejskich jest nieznana, podobnie jak data fundacji parafii rzym.kat. Fundację parafii odnowił król Kazimierz Jagiellończyk w 1469 r., a miejskie prawo magdeburskie potwierdził



ryzacyjnej. Na całość tej akcji (prowadzonej zawsze w miesiącach wakacyjnych) składają się zarówno prace w terenie – fotografowanie istniejącego stanu obiektu i jego szczegółowe opisywanie, jak i prace poszukiwawcze w literaturze, archiwach oraz w muzeach i kościołach (po tej i tamtej stronie granicy, także w cerkwiach), do których trafiły po II wojnie przedmioty wyposażenia wewnętrznego inwentaryzowanych obiektów.

Po zakończeniu inwentaryzacji na obszarze Małopolski Wschodniej (archidiecezji lwowskiej) naukowcy krakowscy zamierzali podjąć prace na Wołyniu, tam jednak spotkali się z odmową lokalnej administracji ukraińskiej. Kolejnym więc polem prac jest teren Ukrainy (za Zbruczem).

Z okazji rocznicy odbyło się publiczne spotkanie w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie, na którym prof. Jan Ostrowski opowiedział o początkach i dziesięcioletnim przebiegu akcji, trudnościach i odkryciach, a także o współpracownikach, którymi byli i są pracownicy naukowci IHS UJ oraz studenci historii sztuki. Następnie dyrektor MCK, prof. Jacek Purchla, i zarazem wydawca tomów *Materiałów*, opowiedział o swojej niedawnej podróży do Małopolski Wschodniej wraz z gronem innych osób. Wśród serii przełomczy zobaczyliśmy m.in. tragiczne zdjęcia dwóch bezcennych zabytków naszej architektury i historii – kościoła zamkowego w Brzeżanach oraz kościoła w Podhajcach, których pogarszający się stan musi doprowadzić niebawem do nieodwracalnej katastrofy. Zadano prelegentom pytanie, czy ta sprawa jest rozważana w odpowiednich instytucjach – chodzi wszak przynajmniej o nakrycie dachami obu budowli (stare dachy, przed paru laty jeszcze istniejące, ostatecznie się zawaliły). Rozumiemy, że sprawa ta nie należy do kompetencji obu Panów, jednak ich pozycja i autorytet mogłyby pomóc w poruszeniu sumień decydentów. O sprawie tych kościołów pisaliśmy już w CL, wyrażaliśmy też zdziwienie, że znajdują się pieniądze na odnowę polichromii kościoła z przełomu XIX/XX w. w Kołomyi (niczego nie ujmując Kołomyi), natomiast dla ratowania tamtych, stokroć ważniejszych dla naszej kultury obiektów, nie ma zainteresowania.

Na spotkaniu zaprezentowano świeżo wydany tom 8 *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej*, który omawiamy w dziale *Nowe książki*.

◆ W Krakowie w Centrum Kultury „Dworek Białoprądnicki” (niegdyś podmiejskiej siedzibie biskupów krakowskich) odbyły się w marcu i kwietniu **spotkania z Bolesławem Bachmanem**, profesorem Politechniki Łódzkiej, który opowiadał o swoich latach spędzonych na studiach we Lwowie w okresie międzywojennym, oraz o poecie lwowskim Tadeuszu Hollendrze. B. Bachman jest z urodzenia złoczowianinem, absolwentem Politechniki Lwowskiej, był uczestnikiem kampanii wrześniowej '39 i jeńcem sowieckiego łagru. Jest członkiem i działaczem TMLiKPW.

◆ W krakowskim Muzeum Historii Fotografii czynna była w marcu wystawa twórczości fotograficznej i malarskiej Pawła Bielca, sędziwego fotografa, który przez przeszło sześćdziesiąt lat prowadzi własny zakład w Krakowie, najpierw przy ul. Karmelickiej, a od niedawna przy pl. Inwalidów. Przechodnie pamiętają wystawione od kilku dziesięcioleci w witrynie zakładu zdjęcie Karola Wojtyły z lat studenckich, które Bielec wykonał.

P. Bielec urodził się w 1902 r. w Dynowie, w Ziemi Przemyskiej, a zaraz po I wojnie **otworzył we Lwowie zakład fotograficzny**, który prosperował przez lat dziesięć. Potem przeniósł się do Krakowa (we Lwowie była zbyt duża konkurencja!). Studiował tu też na ASP, a jego profesorami byli m.in. znakomici uczeni o korzeniach wschodniomałopolskich: Fryderyk Pautsch i Czesław Rzepiński.

Na wspomnianej wystawie znaleźliśmy kilka miejskich pejzaży Lwowa, sfotografowanych przez Bielca w jego lwowskich latach.

◆ Najmłodszą osobą odznaczoną w Polsce jest **13-letnia Sylwia Homoncik** ze Szkoły Podstawowej w Maciejowej k. Nowego Sącza. Sylwię i pięcioro innych młodych artystów z I, II i IV LO w Nowym Sączu Złotą Odznaką TMLiKPW uhonorował Zarząd Główny Towarzystwa. Wszyscy są członkami zespołu stworzonego przez dra

Jerzego Masióra i z ogromnym powodzeniem prezentują lwowskie programy na licznych festiwalach i imprezach w całym kraju. Jerzemu i Laureatom serdecznie gratulujemy! Kiedy wreszcie wystąpicie w Krakowie?

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Pani Włada Majewska – jedna z tych Osób, które tworzyły najbliższe grono współpracowników **Mariana Hemara**, a zarazem spadkobierczyni jego praw autorskich, przechowała w swym archiwum maszynopis pięciu powstałych na emigracji jednoaktówek Poety. Ich odkrycia dokonał dla nas nieoceniony profesor Stanisław S. Niciejka i opatrzywszy je swoim słowem wstępnym, opublikował w kraju (wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1992) pt. **To, co najważniejsze**. Utwory te to: *Ostatni tren* – o Kochanowskim, *Fraszkopis* – o Ignacym



Włada Majewska na scenie. Londyn, 1999

Zygmunt Stary w 1525 r., ustanawiając jednocześnie pięć jarmarków, podczas których handlowano głównie bydłem i kożuchami. W tym samym roku król zezwolił mieszczanom i wójtowi na warzenie soli w *takich ilościach jak w Kołomyi*. W 1557 r. mieszczaństwo otrzymało pozwolenie na pędzenie gorzałki, pod warunkiem utrzymywania wałów miejskich w należytym stanie. W 1662 r. lustratorowie starostwa dolińskiego napisali w raporcie, że zamek przez zaniedbanie kolejnych dzierżawców został w *niwecz obrócony*. W 1. poł. XVIII w. starostwo należało do Tartłów, a od Doroty Tartłowej, wojewodziny lubelskiej, nabył je w 1755 r. hetman Wacław Rzewuski, ale już w 1761 r. przekazał je swemu synowi Sewerynowi. Po I rozbiórce Polski Dolina przeszła na własność rządu austriackiego. W XIX w. warzono tu znaczną ilość soli kuchennej i bydłowej. W 1870 r. urzędzenia warzelni poruszane były jeszcze kieratem konnym.

Zabytki. Kościół parafialny rzym.kat. pw. Narodzenia NMP, murowany, konsekrowany w 1838 r. Cerkiew parafialna gr.kat. pod tym samym wezwaniem.

Czasy obecne. Kościół, zamknięty po II wojnie, zwrócony został wiernym w 1991 r. Przywrócony do kultu wymagał trwającego kilka lat remontu, podobnie jak odzyskany budynek plebanii. Proboszczem jest obecnie ks. Krzysztof Panasowiec. W rozbudowywanej plebanii odbywa się corocznie kilka turnusów *oazowych* dla młodzieży szkolnej z terenu archidiecezji lwowskiej.

HORODENKA

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. stanisławowskim, przy linii kolejowej Kołomyja – Zaleszczyki, w odległości 50 km (drogą 40 km) na ptn.wsch. od Kołomyi. W okresie międzywojennym było tutaj prawie 10 tys. mieszkańców. Oba obrządkі miały na miejscu siedziby parafii. Istniejąca szkoła rolnicza przygotowywała do racjonalnej uprawy okolicznych, bardzo żyznych ziem. Rozwinięte było rzemiosło tkackie i handel zbożem. Pracowała gorzelnia.

Historia. Pierwsze wzmianki o Horodence pochodzą z XII w. W XV w. otrzymała prawa miejskie i stała się jednym z najważniejszych miast na Pokuciu. Staraniem Potockich, którzy byli jej właścicielami, w 1648 r. król nadał Horodence prawo magdeburskie. Dla gospodarczego ożywienia miasta Potoccy zezwolili na osiedlanie się w nim Ormian. W 1706 r. wybudowany

Krasickim, *Kosmopolita* – o Chopinie, *Umo-
wa* – o Chopinie i Norwidzie, oraz *Dawny
spór* – o Fredrze i Gorczyńskim.

Jednoaktówki, będące oczywiście fikcją literacką, dotyczą wybranych przez Poetę fragmentów życiowych spraw i losów jego bohaterów. Hemar wchodzi wspaniale w ich czas, wyczuwa nastrój chwili i styl epoki. Pisze prof. Nicieja: [...] *Wszystkie jednoaktówki Hemara napisane są wierszem stylizowanym, oddającym atmosferę epoki, niezależnie czy jest to czas renesansu, oświecenia czy romantyzmu. Hemar bowiem swobodnie porusza się w polszczyźnie – swojej ojczyźnie. W jednym ze swoich wierszy napisał:*

*Moją ojczyzną jest polska mowa.
Słowa wierszem związane.
Gdy umrę, wszystkim mi jedno gdzie,
Gdy umrę, w niej pochowają mnie
I w niej zostaną.*

Książka zapewne już nie do nabycia.

📖 Powiem szczerze: nie byłem amatorem pisarstwa **Jerzego Janickiego**. Zraziła mnie jego pierwsza z serii lwowskich książek biograficznych *Cały Lwów na mój głów*, gdzie autor – obok autentycznych znakomości lwowskich (i pół-znakomości) – wyszukał takich „lwowiaków” jak Kuroń, Cywińska, Dziedzicówna i parę jeszcze innych osobistości (wtedy prominentnych), dla których jedynym punktem zaczepienia był fakt, iż urodzili się we Lwowie, tak jak kto inny mógł się przypadkiem urodzić w Paryżu czy Pcimiu, i nic poza tym ze Lwowem nie ma wspólnego, nie odczuwa też żadnej potrzeby więzi. Nie bardzo odpowiada mi pseudo-balak w stylu pisania i nader częste nieścisłości rzeczowe.

Nie znaczy to, bym nie doceniał ogromnych zasług Janickiego dla popularyzacji polskiego Lwowa, jego kultury i historii. Miał i ma zapewne Janicki nadal do tego szczególne warunki jako człowiek pióra i mediów. Umiął je wykorzystać także dzięki temu, iż ludzie uznali go – chyba słusznie, właśnie jego, a nie jego wyżej wymienionych bohaterów – za uosobienie lwowskości, zasypując ogromną ilością materiałów, informacji, wspomnień – pisanych lub osobiście opowiadanych.

Te właśnie zaowocowały doskonałą książką pt. **Czkawka** (wyd. „Iskry”, Warsza-

wa 2000). Znajdujemy w niej 35 opowiadań o spotkaniach Janickiego z różnymi ludźmi, z których wielu znamy, jeśli nie osobiście, to ze słyszenia, z domowej legendy. Czytamy o ich *gniazdach*, losach, rodzinach, o ich *lwowskości*, ale także o obyczajach i folklorze, o instytucjach i miejscowościach. Lwów i cała Małopolska Wschodnia prezentują się w tej książce w pełnej krasie, smaku i niepowtarzalności, w swojej autentycznej polskości, dużo lepszej i ciekawszej, niż ta cała banalna reszta (do której musieliśmy się przez lata przyzwyczaić). Książka Janickiego przypomina nam, żeśmy sroce spod ogona nie wypadli.

Książka dostępna w księgarniach.

📖 Wszyscy – nie tylko z t a m t e g o pokolenia – pamiętamy Szczepka i Tońka (bodaj z rodzinnych przekazów), nie wszystkim jednak znane są już dziś nazwiska Aprikosenkranza i Untenbauma z tej samej Wesołej Lwowskiej Fali. Ich dialogi pióra **Wiktora Budzyńskiego** zostały niedawno cudem odnalezione i wydane przez Instytut Lwowski Janusza Wasylkowskiego, w jego opracowaniu, pt. **Rozmówki Panów Aprikosenkranza i Untenbauma** (Warszawa 2000).

Wykonawcami tekstów byli Mieczysław Monderer i Adolf Fleischer. W dialogach tych – jak pisze wydawca – *mniej było lwowskiej gwary, więcej natomiast znanego nam z żydowskich anegdot sceptycyzmu i stoicyzmu, filozoficznego dystansu do omawianych spraw i rzeczy, typowo żydowskich wątpliwości i twierdzeń, które zamieniały się w pytania. Było też trochę szmoncesu [...]*.

Książkę otwiera interesująca przedmowa, napisana przez Janusza Wasylkowskiego, a przedstawiająca historię legendarnej już Wesołej Lwowskiej Fali, prezentująca jej ludzi. Warto nabyć!

Książka dostępna w oddziałach TMLiKPW. Zamawiać można w Instytucie Lwowskim, 01-390 Warszawa, ul. Sucharskiego 4/83.

📖 Ukazała się druga pozycja Biblioteki Cracovia-Leopolis: **Zadwórze, polskie Termpile**, pióra profesora **Stanisława S. Nicieja**, znakomitego autora monografii cmentarzy Łyczakowskiego i Orłąt. Tomik związany z 80. rocznicą bitwy zadwórzeńskiej (1920–2000), powstał dzięki staraniom

Janusza Palucha, który też książeczkę opatrzył wstępem (wyd. Śródmiejski Ośrodek Kultury i TMLiKPW, Kraków 2000).

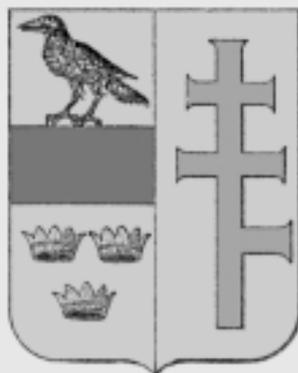
Bitwa pod Zadwórzem była fragmentem wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r., należącej do logicznego ciągu wydarzeń I wojny światowej, choć rozegrała się po formalnym zakończeniu tej wojny. „Polskie Termopile” stały się nie tylko symbolem II Obrony Lwowa i ziem południowo-wschodnich, lecz również ofiarnej walki o ograniczenie totalnego uderzenia agresora na Polskę i Europę. Dzięki temu możliwe było złamanie sił wroga pod Warszawą. Znaczenie bitwy zadwórzeńskiej jest dziś pomijane, o czym pisaliśmy kilkakrotnie.

Książeczkę można otrzymać w oddziałach TMLiKPW.

 Piśmiennictwo o obrosłej historią i legendą figurze Najświętszej Marii Panny Jazłowieckiej wzbogaciło się pod koniec ub. roku o nową książkę. Siostry Niepokalanki, znane dotąd głównie jako autorki doskonałego, kilkakrotnie wznawianego przewodnika po sanktuariach maryjnych *Z dawna Polski Tyś Królową...*, opublikowały we współpracy z **Hanną Kosyrą-Cieślak** dzieło wyjątkowej urody i walorów pt. ***Pani nasza Jazłowiecka***. Przedstawiają w nim losy rzeźby Tomasza Oskara Sosnowskiego i kilku wykonanych przez niego replik, znajdujących się w różnych miejscowościach w kraju i za granicą (w jednym z rozdziałów omówiono życie i twórczość tego wybitnego artysty). Wiele miejsca poświęcono przejawom czci oddawanej MB Jazłowieckiej przez kawalerzystów 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, stacjonującego we Lwowie, i 9 Pułku Ułanów Małopolskich (w Trembowli) oraz późniejszym związkom i przyjaźni weteranów tych pułków ze Zgromadzeniem ss. Niepokalank. Obszernie zrelacjonowano uroczystość koronacji cudownej Figury i jej 50-lecie. Wzruszający jest opis „wysiedlenia” statuy po II wojnie światowej z Jazłowca do Szymanowa (podobnie, jak odnalezienia zaginionej jej repliki z wołyńskiego Hrycowa).

Książka ma piękną szatę graficzną, jest bogato ilustrowana zdjęciami, liczy 350 stron (twarda oprawa). (T.K.)

Książkę można zamówić pod adresem: Klasztor ss. Niepokalank, 02-704 Warszawa, ul. Ildzikowskiego 25.



został kościół rzym.kat. pw. Niepokalanego Poczęcia NMP, w którym była kaplica św. Grzegorza Oświeciela, patrona Ormian. Parafię rzym.kat. erygował w 1743 r. Mikołaj Bazyli Potocki, starosta kaniowski. W tym samym roku sprowadził on do Horodenki misjonarzy, którym w 1755 r. wybudował klasztor (skasowany przez Austriaków w 1782 r.). W 1760 r. ufundował nowy kościół, który od 1763 r. stał się parafialnym. Przy parafii istniał założony przez Mikołaja Potockiego fundusz ubogich. Potocki dbał również o religijne potrzeby ludności grekokatolickiej, dla której postawił cerkiew parafialną. Od XVI w. w Horodence osiedlili się Żydzi. W XVIII w. miasto było ważnym ośrodkiem chasydyzmu (pochodził stąd rabin Nachman z Bracławia). Żydzi mieli tu synagogę i kilka domów modlitwy.

W 2. poł. XIX w. właścicielem posiadłości był baron Mikołaj Romaszkan, który w całym kluczu horodeńskim, składającym się z kilku folwarków, zaprowadził wzorową gospodarkę. Dzięki jego staraniom rozwinęła się uprawa roli (kukurydza, chmiel, nawet tytoń) oraz hodowla bydła. W Horodence założył ogromny browar i gorzelnię. Na początku XX w. niezamieszkały pałac pozostały po Potockich zamieniony został na zakłady przemysłowe.

W Horodence urodził się Seweryn Hammer (1883–1955), filolog klasyczny, prof. Uniwersytetu Poznańskiego, od 1925 r. UJ, tłumacz dzieł Tacyty.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Niepokalanego Poczęcia NMP, ufundowany przez M.B. Potockiego, zbudowany według projektu Bernarda Meretyna, późnobarokowy, trójnawowy z fasadą dwuwieżową, wyposażony w 5 ołtarzy z rzeźbami dłuta Pinsla. Cerkiew parafialna grekokatolicka pw. NMP, również fundowana przez Potockiego,



Zamek w Skalacie. Z albumu Adama Bujaka „Zamki kresowe – strażnice Rzeczypospolitej”

📖 Doskonały pomysł miało grono warszawskich i poznańskich wygnańców ze Skalatu oraz Redakcja „Głosów Podolan” – ci pierwsi opracowując zbiorowe dziełko pt. **Skaląt czasu pokoju i wojny. Miasto, ludzie, obyczaje i wydarzenia widziane oczyma ówczesnych nastolatków**, Redakcja zaś wydając to opracowanie jako specjalny numer swego czasopisma (które omawialiśmy w CL 3/97).

Zgodnie z tytułem tomiku, autorzy opisują swoje czasy: Skaląt w ostatnich latach przed II wojną, jego topografię i infrastrukturę, ważniejsze obiekty i wyróżniających się obywateli (ale spisano także zapamiętane nazwiska zwykłych obywateli – to bardzo dobrze!). Druga część książki to czasy wojny i trzech okupacji, exodus i czasy powojenne – w Skalacie i w nowych miejscach osiedlenia. Treść książki wzbogaca duża liczba dokumentalnych fotografii.

Brakuje trochę bodaj zarysu historii Skalatu na samym wstępie. Zbiegiem okoliczności właśnie w niniejszym numerze CL zamieszczamy hasło *Skaląt* w naszym *Słowniku geograficzno-historycznym*.

Informujemy Skalaticzan, że sędziwa dziś pani dr Janina Winowska – jedna z trzech najważniejszych osób, którym zawdzięczamy skonsolidowanie się w latach 80. środowiska lwowsko-wschodniomałopolskiego w Krakowie, a potem powstanie tu oddziału TMLiKPW, pochodzi ze Skalatu. Była profesorem gimnazjalnym (polonist-

ką). Jej siostra, Maria Winowska (osiadła i zmarła w Paryżu) była pisarką katolicką, a brat, dr Leszek Winowski – profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego. Ich ojciec był sędzią w Skalacie.

Książka do nabycia w oddziałach TMLiKPW.

📖 Mamy już 8. tom **Materiałów do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich...** pod redakcją prof. Jana Ostrowskiego (wyd. Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2000). Nowy tom należy do najobszerniejszych wśród dotąd wydanych: obejmuje prawie 340 stron (razem z indeksami) oraz blisko 500 dokumentalnych zdjęć, nowych i archiwalnych.

W tomie zawarto materiały na temat kościołów z bliższych i dalszych okolic Lwowa. Do najważniejszych należą tu świątynie w Gródku Jagiellońskim i Biłce Szlacheckiej. Ponadto znajdujemy najbliższe Lwowa miejscowości: Rzęsna Polska, Brzuchowice, Malechów, Zboiska, Białohorszczce, Zimna Woda, Sokolniki, Sichów, Zubrza, Prusy itd. Z nieco dalszych: Lubień Wielki, Janów, Glińsko, Kukizów, Jaryczów – łącznie 32 obiekty.

Do nabycia w księgarniach naukowych.

📖 Opasłe tomisko (prawie 750 stron!) nosi tytuł **Sztuka Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej XVI–XVIII w.** (wyd. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2000), a zawarte w nim referaty zostały napisane przez 35 autorów pod redakcją **Jadwigi Kaliszuk**. Tom jest plonem sesji naukowej, która odbyła się w 1997 r. na KUL z udziałem fachowców z głównych ośrodków zajmujących się sztuką tych ziem, przede wszystkim z Warszawy, Lublina i Krakowa. Redaktorzy tak uzasadniają swoje zainteresowanie: *Cały teren [Ziem Wschodnich], mimo regionalnych odmian, aż do czasu pierwszego rozbioru w 1772 roku podlegał dominującą wpływom cywilizacji zachodnioeuropejskiej, rzymskiej, przejmowanej tu za pośrednictwem Polski, cywilizacji zaszczepiającej swoje idee na żyznej glebie, zasilanej słabnącymi, ale wciąż żywymi sokami miejscowej tradycji, sięgającej Rusi Kijowskiej, a w dalszej perspektywie – Bizancjum. Właśnie te ziemie były terenem, gdzie „Wschód spotykał Zachód” i gdzie to spotkanie, pozbawione większych konflikt-*

tów, dało piękne i dorodne owoce w dziedzinie sztuki.

Niestety wśród tych tekstów te, które dotyczą obszaru Małopolski Wschodniej należą do zdecydowanej mniejszości – znaleźliśmy ich zaledwie 5 (nie licząc marginalnych odniesień w paru innych artykułach), pozostałe dotyczą głównie Wilna i Wileńszczyzny oraz Grodna i Grodzieńszczyzny, a także Wołynia.

Maria Brykowska przedstawia studia nad architekturą z pocz. XVII w. wokół Tarnopola, opierając się na mapce, znalezionej w Bibliotece Narodowej w Paryżu. Autorka omawia plan Tarnopola, świątynie, zamki.

Zbigniew Bania analizuje pojęcie *rezydencji* w architekturze polskiej XVII i XVIII w. na przykładzie Podhorzec i Brodów, traktując tamtejsze siedziby jako najbardziej charakterystyczne dla tamtej epoki w ich administracyjnym, architektonicznym i kulturowym wymiarze.

Andrzej Betlej pisze o twórczości architektonicznej Pawła Giżyckiego (1692–1762), autora świątyni lub ich części m.in. w Stanisławowie, Niżniowie, Dobromilu i Lwowie, ale więcej na Wołyniu (Krzemień i in.) i na Ukrainie (Żytomierz i in.).

Jacek Gajewski rozważa genezę zjawiska lwowskiej rzeźby rokokowej, a **Jakub Sito** omawia Lwów jako centrum rzeźbiarskie XVIII w.

Tak więc owych 5 artykułów na 35 zawartych w omawianym tomie to dość niewiele. Podobną proporcję zauważamy w miesięczniku „Spotkania z zabytkami”, które ma stałą rubrykę *Zabytki na Wschodzie*. I tam spośród ziem wschodnich – północne i środkowe mają dużą przewagę nad południowymi. Wypada zwrócić się z zapytaniem na ten temat do fachowca – pani dr Danuty Nespiań we Wrocławiu: jak to widzisz, Danusiu?

Do nabycia w księgarniach naukowych

 **Ks. Józef Wołczański** zrealizował świetną ideę: pokazanie Wołynia, przynależnego do kręgu naszej kultury – kultury polskiej i zachodniego chrześcijaństwa. Tej kultury, z którą wschodni barbarzyńcy obeszli się, nie raz w naszej historii, szczególnie brutalnie. Liczne wspaniałe i mniej wspaniałe kościoły wołyńskie zostały w większości, w ciągu panowania tam sowieckich rządów, zmasakrowane. Ostały się zaledwie

jednonawowa, zapewne wg projektu Marcina Urbanika, z 4 ołtarzami, wykonanymi pod kierunkiem Pinsla, konsekrowana w 1766 r.

Czasy obecne. Prowadzone przez miejscową ludność starania o reaktywowanie parafii nie przyniosły dotąd rezultatu, gdyż kościół zabrali grekokatolicy.

KOPYCZYŃCE

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. tarnopolskim, położone w pobliżu źródeł rzeki Nieczławy (zob. CL 2/2000), przy liniach kolejowych Tarnopol – Czortków i Stanisławów – Husiatyn, w odległości 16 km od Czortkowa (zob. CL 4/98) i 25 km od Husiatyna (zob. CL 3/96). W okresie międzywojennym liczyły ponad 8 tys. mieszkańców, którzy pracowali w czynnych tu cegielniach i młynach oraz trudnili się handlem bydłem i produktami rolnymi. Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Kopyczyńce były gniazdem rodziny Kopyczyńskich h. Topacz. Pierwsza wzmianka o tej rodzinie pochodzi z 1378 r., kiedy to Prandota Kopyczyński stawał jako świadek przed sądem w Buczaczu. W 1443 r. Jakub na Kopyczyńcach wraz ze swą matką Otką ufundowali kościół w tej miejscowości. Kopyczyńscy wyposażyli także miasto w zamek warowny, który kilkakrotnie wytrzymał oblężenia przez Turków i Tatarów. W 1. poł. XVII w. własność Kopyczyńiec przeszła przez małżeństwo na Kalinowskich. W 2. poł. XIX w. należały do Baworowskich.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP z 1805 r., murowany, ze stojącą obok dzwonnica. Jest to jedna z nielicznych na tamtych ziemiach budowli



ślady świetności, a z tych jeszcze duża część została zawłaszczona przez chrześcijan wschodnich, w nieco mniej subtelnej kulturze wychowanych.

Inicjując i organizując opracowanie albumu fotograficznego kościołów wołyńskich, wypełnił ks. Wołczański w pewnym stopniu lukę, jaka powstała po odmowie administracji ukraińskiej na Wołyniu zezwolenia na prowadzenie prac inwentaryzacyjnych krakowskim historykom sztuki z kręgu prof. Jana Ostrowskiego, którzy od dziesięciu już lat tworzą naukową dokumentację świątyń rzymskokatolickich na ziemiach zabranych i wydają kolejne tomy owoców tej akcji (jest ich już 8 – każdy z nich omawiamy w CL, również w tym numerze).

Album pt. *Świątynie na Wołyniu* (wydany, lecz tylko formalnie, przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów P.W., Kraków 2000, a sponsorowany przez Kancelarię Senatu RP oraz Kard. F. Koeniga z Wiednia i abpa E.M. Egana z Nowego Jorku) ma jednak inny charakter niż tomy historyków sztuki. Nie zawiera dokumentacji historycznej, jest natomiast albumem fotograficznym z historycznymi objaśnieniami. Autorem zdjęć jest zdolny młody fotografik **Jan Walczewski**, który wywiązał się ze swej pracy wzorowo. Jego zdjęcia pod względem artystycznym nie ustępują dziełom renomowanych twórców podobnych albumów,

gdzie występuje architektura i jej detal, wnętrza, rzeźba i malarstwo ścienne, a także niezwykle wołyński krajobraz i przyroda. Fotografii jest w albumie 237 (na ponad 200 stronach), a dotyczą one ponad 70 miejscowości. Objasnienia historyczne opracował sam ks. J. Wołczański. Na wstępie dał krótki zarys historii Wołynia, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki kościelnej.

Trudno tu omawiać poszczególne obiekty i zdjęcia. Ich wybór daje dobre pojęcie o różnorodności problematyki. Mamy więc nieliczne kościoły, które przetrwały w swym pięknie i przeznaczeniu, i kościoły zniszczone (na niektórych widać jeszcze ślady niezwykłej wspaniałości), kościoły zabrane i ubogie kościółki na nowo odbudowywane i skromniutko urządzone, czasem aranżowane w izbach domów mieszkalnych. Widzimy też relikty cmentarzy, figury i kapliczki, resztki polichromii. Smutne to, że destrukcja będzie dalej postępować, dobrze się więc stało, że album ten powstał AD 2000.

Na koniec trzeba wyjaśnić, że obaj autorzy są ludźmi urodzonymi w powojennej Polsce, lecz ich rodzinne korzenie tkwią po tamtej stronie. Stąd tyle serca wspólnie włożonego w to piękne dzieło.

Album można nabyć w większych oddziałach TMLiKPW.

Tadeusz Kukiz (T.K.)
Stefan S. Łukowski



ZWIASTUN SAMBORSKI

Do rodziny pism *kresowych* (nie lubimy tego słowa, bo gdzie tam Kresy!) doszło nowe pisemko, na razie skromne i cieniutkie, ale – początki są zawsze trudne. Pismo nazywa się „Zwiastun Sambora” (my wolelibyśmy „Zwiastun Samborski” albo „Głos Sambora”, bo *zwiastunem* był numer pierwszy), ma przeważnie 8 stron w formacie A5 i coraz ładniejszą winietkę, ostatnio już z herbem Sambora. Jego redaktorami są prezes TKPZL w tym mieście Marian Wawrzyszyn oraz panie Lilia Luboniewicz i Maria Ziembowicz. Skład komputerowy jest dziełem księdza Pawła Filinowicza CR. Pojawiają się już ilustracje.

Pisemko jest miesięcznikiem i zaczęło wychodzić chyba we wrześniu ub. roku (nr 2 jest datowany na X 2000). Do nas dotarło pierwszych 6 numerów. Wyczuwa się, że redaktorzy „rozkręcają” tematykę periodyku i ciągle rozszerzają pole swoich zainteresowań. Piszą o wielu rzeczach: o życiu polskiej społeczności i ich organizacjach, o spotkaniach i uroczystościach; są teksty religijne, wywiady i aktualności. Na pewno będzie tego coraz więcej, ale nawet przy obecnej objętości zmieściłoby się więcej tekstów, gdyby je trochę „ścisnąć”. Warto więc to i owo podpowiedzieć.

Zainteresowania redakcji na pewno obejmie cały powiat samborski. Czytaliśmy już o Wojutyczach i Łanowicach, ale wsi zapewne jest kilkadziesiąt. W wielu pozostały pamiątki: kościoły, zabytkowe zabudowania dworskie, może nawet stare chałupy (one giną najprędzej), cmentarze, kapliczki i tak dalej. W domach samborskich i wiejskich zachowały się może stare sprzęty i urządzenia, obrazy i stroje ludowe (przed kilkunastu laty widzieliśmy ich trochę), a także stare fotografie. To wszystko warto odnaleźć, utrwalić na zdjęciach, a może jakoś zabezpieczyć? Niełatwe to, ale...

Są też ludzie, którzy z pewnością mieliby niejedno do opowiedzenia, o sobie i swoich rodzinach. Czas ucieka – trzeba to rejestrować.

W piśmie warto pisać o znanych samborzanach, którzy działali w swoim mieście, albo gdzie indziej – w dawnych czasach

sakralnych w stylu *cesarstwa*. Po II wojnie zamieniony na pralnię i magazyn środków chemicznych. Ruiny zamku z XVII w.

Czasy obecne. Kościół zwrócony wieronym w 1989 r., odremontowany w latach następnych (pokryty nowym dachem i otynkowany z zewnątrz). Proboszczem jest obecnie ks. Jan Krzyško.

Wg spisu ludności z 1989 r. było tu 45 Polaków, a w latach 90. do narodowości polskiej przynależało się 50 rodzin.

KOSÓW

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. stanisławowskim, położone nad rzeczką Rybnicą, prawobrzeżnym dopływem Prutu (obie zob. CL 2/2000), na wys. 451 m n.p.m., oddalone o 32 km na płd. od Kołomyi (zob. CL 1/95) i 9 km na płn.zach. od Kut (zob. CL 3–4/95). W okresie międzywojennym liczyło ponad 4 tys. mieszkańców, którzy pracę znajdowali w miejscowych młynach, tartakach, cegielniach, garbarniach. Zajmowali się ponadto handlem ziemiopłodami, głównie owocami. Rozwinięte było również rękodzieło: Kosów słynął z wyrobów kilimkarskich i garncarskich. Otoczony ze wszystkich stron górami, posiadał łagodny klimat i był uczęszczanym letniskiem. Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Na pocz. XVII w. Kosów stanowił własność rotmistrza Marcina Kazanowskiego h. Grzymała. Parafia rzym.kat. erygowana została dopiero w 1740 r. przez Jerzego Dzieduszyckiego. W XIX w. Kosów znany był z hodowli kóz i wyprawiania skór kozich. Na przedmieściu Moskałówka uprawiano dobrej jakości tytoń. Koło Kosowa znajdowały się rządowe warzelnie soli, które dostarczały rocznie ok. 3500 ton soli. W 1882 r. staraniem Kosowskiego Towarzystwa Tkackiego założono tu szkołę tkacką nastawioną na wyrób kilimów, od 1895 r. utrzymywaną przez Wydział Krajowy i istniejącą jeszcze w XX w.

We wsi Smodna, odległej o 2 km od Kosowa, znajdowała się sławna lecznica dra Apolinarego Tarnawskiego z zakładem wodoleczniczym, miejscami do kąpieli słonecznych, halą gimnastyczną. W sezonie letnim przez zakład przewijało się ok. 400 pacjentów.

Zabytki. Kościół parafialny pw. MB Różańcowej, murowany, zbudowany w 1897 r. Zachowały się rzeźby z wyposażenia kościelnego wnętrza i obraz MB, zwrócony przez Ukraińców. Wg danych z 1993 r. żyje tu ok. 100 rodzin polskich.

i w powojennym półwieczu. Wielu zapewne przysporzyło chwały Samborowi i Ziemi Samborskiej. Przykłady: rodziny Jareków, Żuławskich. Trzeba o nich wiedzieć.

Cieszymy się, że w Samborze ukazało się lokalne pismo. Jakby to było dobrze, gdyby w każdym mieście powiatowym coś takiego się pojawiło. W Drohobyczu, Striju, Złoczowie, nie mówiąc o Stanisławowie i Tarnopolu! Powiecie, że trudno? A czy „swoi” w RP i za granicą nie mogliby pomóc? Bodaj papier dostać, albo skład komputerowy zorganizować...

Mierzmy siły na zamiary!

Na marginesie chcemy poinformować, że w opracowaniu jest przewodnik-monografia Mościsk i powiatu mościskiego. Gdyby to zainteresowało Samborzan po obu stronach kordonu i zechcieli coś podobnego stworzyć dla swojej małej ojczyzny, to Autorka chętnie im doradzi, jak się do tego zabrać.

Malwina Piskozub

Uważny Czytelnik zauważy zapewne, że powyższa rubryka „Jest co czytać” została oznaczona numerem 23, gdy poprzednia, w CL 4/2000, nosiła nr 14. Sprzeczność ta wynikała z niezbyt konsekwentnego traktowania przez nas omówień czasopism „kresowych”, które w każdym prawie numerze CL zamieszczamy, czasem także poza tą rubryką. Zrobił się więc mały bałagan, który niniejszym porządkujemy. Uważamy to za istotne, ponieważ chcielibyśmy, by było widoczne, jak wiele czasopism o tematyce „kresowej” ukazuje się w RP i poza dzisiejszym kordonem, a także za granicą.

W CL 4/99 zamieściliśmy spis 15 tytułów (z odniesieniem do odpowiednich numerów CL). A oto kolejne, o poprawionej i uzupełnionej numeracji:

16. CL 1/2000 (był nr 11) BIULETYN KOŁA STRYJAN (Londyn)
17. jw. BIULETYN KOŁA STRZECHA STRYJSKA (Wrocław)
18. jw. Z NURTEM STRYJA (Gliwice)
19. CL S/2000 (był nr 12) WOŁANIE Z WOŁYNIA (Ostróg)
20. jw. (był nr 13) ŻYCIE KRZEMIENIECKIE (Poznań)
21. CL 4/2000 (był nr 14) ROCZNIK LWOWSKI (Warszawa)

22. jw. BIULETYN KOŁA SAMBORZAN (Kraków)

23. ZWIASTUN SAMBORSKI (Sambor)

Wertując wydawnictwa

➔ Spodobała się nam **wypowiedź Zdzisława Najdera** na forum „Polska pośrodku Europy” podczas Kongresu Kultury Polskiej. Za „Rzeczpospolitą” 293/2000 podajemy kilka fragmentów tego wystąpienia. Bylibyśmy usatysfakcjonowani, gdyby Czytelnicy zwrócili uwagę, iż myśli zawarte w tej wypowiedzi są tożsame z ideą, jaka przyświeca redakcji „Cracovia-Leopolis”.

[...] Od ponad tysiąca lat Polska obwieszcza swoją przynależność do Zachodu. Kościół rzymskokatolicki jest od początku najważniejszym składnikiem i symbolem tej przynależności. Zdarzało się, że naszą „zachodniość” kwestionowano [...]. Od końca XVIII wieku bezpośredni zachodni sąsiedzi zaprzeczali prawo Polski do odrębnego istnienia. Wówczas jednak także od zachodu, głównie z Francji, płynęło dla nas wsparcie moralne i wolnościowe natchnienie: najbardziej pamiętnym dokumentem jest „Warszawianka”.

Od wschodu Polska bywała najeżdżana przez wyznawców islamu; z tym sobie jakoś radziła. Ale od końca XVIII w. słowiański Wschód usiłował Polskę po prostu wchłonąć i w sobie rozpuścić. Przymusowe wcielenie do bloku sowieckiego po roku 1945 było dalszym ciągiem tych usiłowań. Dzisiaj jest inaczej; mało kto już kwestionuje, że Polska jest częścią składową Zachodu. Ukraiński historyk, profesor Harvardu, powiedział niedawno, że błędne jest widzenie w Polsce „pomostu między Europą a Wschodem”, bo Polska po prostu jest Europą.

Za tę jednoznaczność zapłaciliśmy wszakże wysoką cenę: jest nią naruszenie tożsamości i ciągłości tak historycznej, jak i terytorialnej. Dzisiejsza Polska znajduje się w miejscu, w którym nigdy przed połową XX wieku nie była, natomiast rozerwany został jej związek z ziemiami, na których powstała istotna część dorobku naszej kultury narodowej.

W porównaniu z dotychczasowymi swoimi dziejami Polska jest dzisiaj państwem prawie monoetnicznym i bardziej spoiwym kulturowo niż Francja czy Włochy. Ale jednocześnie Polacy w swoim myśleniu o sobie i o sąsiadach świadomie nawiązują już nie do zafazsowanego w PRL

mitu piastowskiego, lecz do mitu wielonarodowej Polski Jagiellonów. Zwycięstwo tego mitu można uznać za pogrobowy sukces Józefa Piłsudskiego, Polaka z Litwy.

Mit ten jednak nie miałby szans na wskrzeszenie, gdyby duch jagielloński nie przenikał tak dogłębnie dziejów kultury polskiej już od czasu fresków w lubelskiej kaplicy zamkowej Władysława Jagiełły, a więc od początku XV wieku. Był to duch współżycia. Współżycia pokojowego w dwu znaczeniach: wieloetniczne państwo nie rozszerzało się przez podboje, ale przez dobrowolne unie, a kultura polska nie była innym narzucana, ale przyciągała do siebie, co widać najlepiej w okresie porozbiorowym, kiedy spolonizowało się tylu Austriaków i Niemców, a granica obszaru polskojęzycznego przesunęła się dalej na wschód. Na Zachodzie bywało zwykle inaczej: przykładem krwawy podbój Szkocji przez Anglików lub jakobińskie porządki Francuzów.

W połowie XX wieku Polska stała się poligonem europejskich doświadczeń militarnych, etnicznych i ideologicznych. Trzykrotnie była terenem działań wojennych na wielką skalę; przez osiem lat, od 1939 do 1947 roku, trwały na jej obszarze walki partyzanckie. W roku 1944 stoczono sześćdziesięciotrzyniodniową bitwę o jej stolicę. Trzykrotnie doznała okupacji komunistycznej, raz nazistowskiej. Na ziemiach Rzeczypospolitej rozegrał się główny akt zagłady Żydów europejskich. Po roku 1945 miliony Polaków zostały przesiedlone lub spontanicznie zmieniły miejsce zamieszkania. Ziemiaństwo, warstwa społeczna, która przez pół tysiąca lat stanowiła rdzeń kultury polskiej, uległo likwidacji; inteligencja poniosła olbrzymie straty najpierw liczbowe, później moralne.

Te wielkie zbiorowe doświadczenia wywarły ogromny wpływ na kulturę polską. Niekoniecznie w sensie powstałych już pod ich wpływem dzieł, ale w sensie świadomości.. Polska świadomość kulturowa przejawia się dzisiaj nade wszystkim w pamiętnikach, ogłaszanych dokumentach życia zbiorowego; dołączają się do tych przejawów poezja i powieść. [...]

Jako zbiorowość odczuwamy wyjątkowo silnie potrzebę ciągłości. Zniszczenia i niedostatki realiów nadrabiamy wyobraźnią. I właśnie nasz narodowy mit ciągłości dziejowej Polaków stanowi konkretne podłoże, tak treściowe, jak i emocjonalne owego poczucia tragizmu. Tak wiele z tego, co kochamy, za czym tęsknimy, zostało bezpowrotnie zniszczone. Tak wiele z tego, do czego jesteśmy serdecznie przywiązani, jest od nas oddzielone. Śnimy o Wilnie

Czasy obecne. Kościół zwrócony do kultu w 1991 r. Proboszczem jest obecnie ks. Piotr Bielówka.

NADWÓRNA

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. stanisławowskim, położone nad Bystrycą Czarną (Nadworniańską, zob. CL 2/2000), na wys. 438 m n.p.m., niedaleko od podnóża łańcucha Karpat Wschodnich (Gorganów i Czarnohory, zob. CL 3/97). Leży przy linii kolejowej Stanisławów – Woronienka (37 km na płd. od Stanisławowa). W latach międzywojennych miała ponad 8, 7 tys. mieszkańców. Były tu rafinerie nafty i benzyny, fabryka świec oraz rozwinięty przemysł drzewny.

Historia. Nazwa miejscowości wywodzić się ma od nadwornej służby Potockich, osiadłej przy ich tutejszym warownym zamczku, często napadanym przez Tatarów i podobno nigdy nie zdobytym. Parafia rzym.kat. erygowana w 1609 r. przez braci Pawła i Mikołaja Kuropatów h. Jastrzębiec, ówczesnych właścicieli Nadwórnej, która w rękach tej rodziny pozostawała jeszcze przez dwa pokolenia. W 1599 r. ufundowali oni pierwszy kościół pw. św. Trójcy, a przy nim założono w 1716 r. szpitalik dla miejscowej ludności. W 1745 r. dobra nadworniańskie przeszły na Ignacego Cetnera, późniejszego marszałka Galicji. W 1787 r. przejął Nadworną skarb austriacki. Eksploatowano wówczas miejscowe źródła solankowe, warząc z nich sól, oraz uprawiano wielką plantację tytoniu. W 2. poł. XIX w. Nadworna stanowiła własność Buchmullerów i hr. Gustawa Rohan. Istniała tu wtedy fabryka zapalek Simona Huebnera i browar Wilhelma Buchmuellera.



i Krzemieńcu [...]. Śpiewamy o Niemnie i o Czere- moszu, czytamy książki o małych żydowskich mi- asteczkach, jak Drohobycz Brunona Schulza, we Wrocławiu i Warszawie wruszamy się lwowskimi piosenkami Mariana Hemara. [...] Od Zbigniewa Herberta uczymy się, że pamięć o zmarłych to zo- bowiązanie dla żywych. [...]

Jesteśmy kresami Europy. Sąsiedzi od wscho- du – a przypominam, że ani Litwini, ani zwłaszcza Ukraińcy nie chcą być umieszczani w Europie Wschodniej, lecz przynajmniej w Środkowowschod- niej – są otwarcie na nasze tradycje okcydentalne, jak obywatelska podmiotowość jednostek i zbioro- wości, samorząd lokalny, podporządkowanie wła- dzy prawu, a stosunków międzyludzkich umowom, niepodporządkowanie religii państwu i wiara, której się broni – ale której się nie narzuca.

Nie ma potrzeby przemilczać, że Europa ducha, Europa prawa i sztuki sięgała tak daleko, jak daleko sięgały ongiś granice I Rzeczypospo- litej, wspólnej kolebki Polaków, Litwinów, Biało- rusinów i Ukraińców. Na jej obszarze spotykały się i przenikały kultury, ale składnik łacińsko-eu- ropejski był zawsze obecny. Tym śmiało powin- niśmy o tym przypominać, że cywilizacja polska nie była cywilizacją podboju. [...]

➤ Nie znaleźliśmy dotychczas czasopisma pt. „**Wiek Nafty** – Zeszyty naukowo-historycz- ne Muzeum Przemysłu Naftowego w Bóbr- ce”, a wydawanego przez Stowarzyszenie N.T. Inżynierów i Techników Przemysłu Naftowego i Gazowniczego. Redaktorem naczelnym jest mgr inż. Józef Sozański (to znane nazwisko wschodniomałopolskie), jego zastępcą prof. dr inż. Ryszard Wolwo- wicz, którego tekst też mieliśmy okazję swego czasu zmieścić (CL 2/97).

Mamy przed sobą zeszyt 3 (32) z wrze- śnia 2000 r. – X roku wydawnictwa. Ma on 36 stron (format A4), na których z satysfak- cją zauważamy sporą ilość materiałów zwią- zanych z Małopolską Wschodnią (jest ich nawet większość). Znajdujemy więc kolej- ny odcinek biografii Mariana Wieleżyńskiego na tle dziejów „Gazolinoy” (o tej postaci pisaliśmy kiedyś w CL) i życiorysy innych wybitnych nafciarzy: Artura Rappe (1881–1943, rodem ze Stanisławowa), Władysła- wa Jagiełły (ur. 1925 w Borysławiu), wspo- mnienia *starego nafciarza* z Borysławia, Franciszka Zamoyskiego. Wśród ilustracji: zdjęcia z budowy gazociągu Daszawa–Lwów, sztybów w Uryczu.

➤ Również miesięcznik „Nafta&Gaz Biz- nes”, ukazujący się w Krakowie nie był nam dotąd znany. W nrze 12/2000 ukazał się artykuł pt. **Borysławska ropa**, napisany przez Piotra Łepkowskiego (o jego wysta- wie fotograficznej pisaliśmy w CL 4/2000) i Anny Kosteckiej (autorki artykułów w na- szym kwartalniku). Poniżej tytułu inform- cja: *Dzięki dużej wydajności złóż w rejonie Borysławia Galicja zajmowała trzecie miej- sce w wydobyciu ropy naftowej na świecie!*

➤ Książka *Latem w Tocznieli* (Bibliote- ka „Więzi”, Warszawa 2000) jest zapisem rozmów, prowadzonych przez dwóch przy- jaciół (choć dzieli ich całe pokolenie), profe- sorów Uniwersytetu Warszawskiego, A. Mą- czaka i W. Tygielskiego, z których pierwszy jest mistrzem naukowym drugiego oraz bohaterem tej książki.

Prof. Antoni Mączak urodził się we Lwowie w r. 1928 z ojca przemysłanina i matki lwowianki (z domu Domaszewskiej, o wschodniomałopolskich korzeniach ziem- iańskich, a zarazem wnuczki Karola Es- treichera). Od trzeciego roku życia jednak mieszkał w Warszawie, ale w domu zawsze panowała tradycja lwowska, na wakacje jeżdżono do II wojny do majątku wuja pod Kałuszem. Matka brała udział w Obronie Lwowa 1918 r.

Prof. Mączak jest specjalistą historii gospodarczo-społecznej. W książce opo- wiada o swoich życiowych losach, doświad- czeniach i dorobku naukowym. W rozmowie przewijają się jego wizyty we Lwowie i poszukiwanie śladów rodzinnej historii.

➤ Duży rozgłos w mediach nadano w po- łowie ub.r. sprawie zamknięcia na Targach Książki we Frankfurcie stoiska wydawnic- twa „Norton” z Wrocławia, za wystawienie książek rzekomo *antysemickich i faszyzu- jących*. Istnieje jednak podejrzenie, że cho- dziło w istocie o uderzenie wydawnictwa specjalizującego się w **literaturze o obliczu narodowym**, co wcale nie jest równoznac- ne z cechami, które tym książkom przypisano. Nietrudno zgadnąć, gdzie jest źródło takiej nagonki.

➤ W „Nowym Państwie” z 2 II 01. przeczy- taliśmy wypowiedź Pawła Piskorskiego, pre- zydenta Warszawy i do niedawna prominent- nego członka Unii Wolności, który w porę

przeskoczył do „Platformy Obywatelskiej”. O UW opowiada: [...] to *nie liberałowie rządzą partią za Balcerowicza* [...]. *To Mirosław Czech kierował unijnym aparatem*. [...]

Przypomnijmy, że p. Czech jest sekretarzem generalnym UW, dawniej zaś był dziennikarzem ukraińskojęzycznego **czasopisma „Nasze Słowo”** (tego, które napisało, że Polska po II wojnie dostała ziemie niemieckie i ukraińskie...). M. Czech, jako wysoki aparatczyk rządzącej, a potem współrządzącej partii, miał niechybnie wgląd do najtajniejszych dokumentów naszego państwa.

Fajne towarzystwo.

➔ Bardzo ciekawą rozmowę ze znanym w Polsce **historykiem angielskim Timothy Garton Ashem**, interesującym się nie tylko dziejami, ale i aktualną sytuacją wschodniej Europy, opublikowała „Rzeczpospolita” 78/2000. Rozmowa nosi tytuł *Europa, nie czekaj*, a przeprowadził ją Krzysztof Masłowski.

W pierwszych zdaniach rozmowy redaktor zauważa: [...] *Tym większe było moje zdziwienie, gdy przeczytałem w „Historii na gorąco”, że przeczuwa pan powstanie, jeśli nie niepodległej, to autonomicznej Rusi Podkarpackiej* [...]. Tenże nieco dalej: *Zaskoczyło mnie pańskie stwierdzenie, iż w Europie najbardziej niepewna jest przyszłość Rosji i Ukrainy oraz, właśnie, Wielkiej Brytanii*. I jeszcze dalej: *Gdzie przebiega dziś, pańskim zdaniem, granica między Wschodnią a Zachodnią Europą? Wciąż na Odrze i Nysie?* T.G. Ash odpowiada: *Nie, coraz częściej mówimy zresztą o granicy między Europą Środkową a Europą Wschodnią. Ta granica przechodzi wzdłuż dwóch mało znanych na Zachodzie rzek – Bug i Uż. Ale mam nadzieję, że nie jest to granica ostateczna*. Redaktor: *Czyli, że powinna się przesuwać dalej na wschód?* Odpowiedź: *Oczywiście, w końcu to przede wszystkim w Polsce nie trzeba nikomu tłumaczyć, że miejsce Wilna i Lwowa jest w Europie*.

➔ W miesięczniku „Wprost” 49/2000, w artykule Juliusza Urbanowicza pt. *Remont skansenu* (skądinąd rozsądnie napisanym, o naszych mniejszościach narodowych za wschodnim kordonem) wyczytaliśmy, że: *na Ukrainie przy okazji uroczystości na cześć*

Zabytki. Kościół parafialny rzym.kat. pw. Wniebowzięcia NMP, murowany, fundowany w 1599 r., przebudowany w 1713 r., uszkodzony przez pożar (1823), gruntownie odrestaurowany i zrekonserwowany w 1838 r. W głównym ołtarzu znajdowała się kopia obrazu MB Częstochowskiej z 1. poł. XVII w., otoczona wielkim kultem (obecnie w katedrze w Legnicy). W 1929 r. Juliusz Krupski wykonał polichromię, której najważniejszą część stanowiła Adoracja Krzyża na ścianie tęczowej. W 1937 r. arch. Wawrzyniec Dayczak przeprowadził rozbudowę starego kościoła, który stał się częścią frontową nowej, trójnawowej świątyni, ustawionej do niej prostopadle. W 1947 kościół zamknięto, podzielono na dwie kondygnacje i zamieniono na pomieszczenia magazynowe i produkcyjne. Polichromię zamalowano.

Czasy obecne. Kościół zwrócono wiernym w 1991 r. Jest znów siedzibą parafii, którą obsługuje obecnie ks. Franciszek Pukajto. Budynek kościelny wymagał gruntownego remontu, gdyż zniszczenie dachu spowodowało zniszczenie sklepień i zawilgocenie ścian. Wymieniono zgniłą więźbę dachową, dach pokryto blachą. Na dachu wybudowano sygnaturkę, która zastąpiła dzwonnice, rozebraną po 1946 r.

Miejscowi Polacy zrzeszeni są w Klubie „Opieka”.

SKAŁAT

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. tarnopolskim, położone nad rzeką Gniłą (zob. CL 2/2000), na wys. 298 m n.p.m. o 2 km od linii kolejowej Tarnopol – Podwołoczyska, w odległości 35 km od Tarnopola, a 14 km od Podwołoczysk. W okresie międzywojennym liczyło ok. 7200 mieszkańców. Była tu cegielnia i fabryka wódek oraz ożywiony handel ziemioplodami. Parafie obu wyznań znajdowały się na miejscu.

Historia. Pierwsze zachowane dane historyczne o Skałacie pochodzą dopiero z XVII w. W 1630 r. ówczesny właściciel, Krzysztof Wichrowski, wybudował tu warowny zamek, a w dwa lata później erygował parafię rzym.kat. Z córką Wichrowskiego, Weroniką, przeszedł Skałat w dom Firlejów. Podczas wojen kozackich miasto i zamek uległy zniszczeniu, kilkakrotnie także zdobywali je Turcy. Zamek został odbudowany dopiero w XVIII w. staraniem Marii z Wodzickich Scypionowej. W 1734 r. właścicielka Anna z Lanckorońskich Kalinowska założyła przy parafii szpitalik dla ubogich.

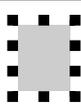
niezbyt popularnego nawet w Polsce Franciszka Karpińskiego dwa konkurencyjne komitety organizacyjne wyrwały sobie pieśniadze przeznaczone na ten cel.

To, że owe komitety (zapewne pochodzące z dwóch konkurencyjnych towarzystw polskich w mieście, z którego okolic poeta pochodził) zachowały się nieelegancko, to jedno. Ale to, co pisze autor artykułu o Karpińskim, też ma swój smaczek. Wygląda na to, że **autor nie kojarzy**, iż Franciszek Karpiński jest autorem jednego z najpopularniejszych w naszej kulturze i najczęściej wykonywanych małych utworów literackich, mianowicie kolędy *Bóg się rodzi*, a także pieśni *Kiedy ranne wstają zorze* i *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Nie tylko tego poety nazwisko staje się zapomniane, zawdzięczając to nowym programom i poziomowi nauk hu-

manistycznych w naszym szkolnictwie. Zapytajcie średnich i młodych Polaków o Kopnicką (ilu słyszało, że to autorka *Roty?*), o Kraszewskiego, Orzeszkową, Norwida, a nawet Krasińskiego – co o nich wiedzą? Może jeszcze tylko Mickiewicz i Słowacki bronią się przed totalną niewiedzą. Co wcale nie znaczy, by pamięć o tych wybitnych Polakach nie miała być czczona w całej Polsce, a zwłaszcza w okolicach, z których wyszli. Dla Franciszka Karpińskiego rodzinną jest Ziemia Stanisławowska – wieś Hołosków.

Inny przykład żenującej niewiedzy: w „Dzienniku Polskim” przedrukowano komunikat PAP, że na czas czerwcowej wizyty Papieża we Lwowie tamtejsi bezdomni zostaną wysiedleni do miejscowości *Briuchowicz!* Chodzi oczywiście o Bruchowice.

Elżbieta Mokrzyńska



Listy do redakcji

Przed opracowaniem niniejszego numeru zwróciliśmy się do spadkobierczyni praw autorskich Mariana Hemara, pani Władzy Majewskiej w Londynie, z prośbą o wyrażenie zgody na opublikowanie jego utworów w tym numerze. Oto fragmenty odpowiedzi:

Do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd-Wschodnich, na ręce Redaktora Naczelnego kwartalnika „Cracovia-Leopolis” WP. A. Chłpalskiego.

[...] Ależ oczywiście! Nie tylko wyrażam pełną zgodę na opublikowanie w tak doskonale redagowanym kwartalniku „Cracovia-Leopolis” wybranych przez Panów wierszy Mariana Hemara, ale także przesyłam trochę materiałów i pewne sugestie. Są to wybrane przeze mnie wiersze oraz słowa wstępne rozmaitych wydawnictw emigracyjnych i krajowych, które nadają się do uży-

cia na setną rocznicę urodzin autora [tu wymienione przysłane materiały].

A teraz, na zakończenie, parę słów o tablicy, która według planów p. Romana Hnatowicza miała być wmurowana na Skalce dla upamiętnienia trzech poetów emigracyjnych, którzy piórem walczyli o niepodległość Polski: (Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń i Marian Hemar) [następują robocze sugestie].

[...] Panu i całej Redakcji przesyłam wiele gorących uścisków i pozdrowień.

Londyn, 12.3.2001

Pisze z Gliwic p. Jerzy Korczowski:

[...] Serdeczne podziękowanie za przesyłkę nowego egzemplarza nr 4/2000 „Cracovia-Leopolis” – krakowskie, pożyteczne i z kulturą słowa i układu treści prowadzone, kresowe – a wszak w pełni ogólnopolskie czasopismo o znamienym, trafnym, patriotycznym tytule. Jakby przypadkowo w obu wstępnych, doskonale ujętych tekstach początkowych – ale oczywiście stosownie nawiązujących do faktu znalezienia się pisma polskiego na przełomie wieków i w specyficznej narodowej sytuacji – znajdujemy niepokoję wokół polskiego losu, zaciemnionej niejasnymi zabiegami nad jego destrukcją.

Z pobieżnego przeglądu „CL” i jego interesujących, licznych, dłuższych i „przypiskowych” tekstów wydaje się wynikać, że Szanowna Redakcja, wiedziona inspiracjami i sugestiami równie Szanownej Rady Redakcyjnej, z dużym pożytkiem jeszcze lepiej utrafia w „zapotrzebowanie społeczne”: nie unika jawnie krytycznego osądu wydarzeń na kresowych polach i polemicznego zacięcia wokół słuszności naszego stanowiska. [...]

A o władcy Szeptyckim pisze się w przychylnych urywkach, podając życzliwe informacje o jego sugestiach do „optowania przy Polsce”. A jego jawnie prohitlerowskie sugestie dla duchowieństwa i ludu, zrealizowane w postaci zbrodni na narodzie polskim na Wołyniu, Podolu i Wsch. Małopolsce? To, że był on „postacią skomplikowaną, ale nie świetlaną” – to chyba nazbyt delikatne ujęcie. [...]

Dziękujemy. Trafia Pan w sedno.

Pani Maria Barbara Hetnał, wnuczka poety Lucjana Rydla, a córka Lucjana Rydla juniora, którego życiorys przedstawiłszy w CL S/2000, nadesłała nam – o czym wspomnieliśmy w poprzednim numerze – wyjątek z pisanych obecnie swoich wspomnień. Fragment ten dotyczy lat spędzonych w Kremerówce pod Chodorowem.

NOWY ROK 1938

Dzień Nowego Roku zaczął się u nas w Kremerówce podobnie jak w latach ubiegłych. Rano stangret ojca Tomko wprowadził do holu – przystrojonego w bibułkowe kwiaty i kolorowe wstążki w zaplecionej grzywie i ogonie – naszego prywatnego konika huculskiego, siwego albinosa, noszącego oficjalnie imię Ibis, ale przez nas nazywanego po prostu Kucem. Był to miły zwyczaj składania życzeń przez Tomka, co zapewne opłacało mu się finansowo.

Po powrocie z kościoła, my dzieci dostawaliśmy obiad wyjątkowo w pokoju dziecinnym. W tym czasie w dużej przeszklonej jadalni, dobrze w tym dniu ogrzanej, rodzice podejmowali obiadem wszystkich, chyba dziesięciu rządców folwarków należących do Cukrowni S.A. Chodorów, w której ojciec był dyrektorem dóbr. Panowie przyjeżdżali bez żon, tylko by złożyć życzenia. Po obiedzie i po wypiciu w salonie kawy z koniakiem rozjeżdżali się do domów. My, to znaczy ja



Pod koniec stulecia cały klucz skałacki należał do rodziny Tartłów, potem przeszedł w posiadanie ks. Poniatowskich, a ok. 1870 r. został sprzedany Sueskindowi Rosenstockowi, po którym odziedziczyli go jego synowie Maurycy i Bernard. Jeszcze pod koniec XIX w. Skałacie był nędzną miejsciną zaludnioną głównie przez Żydów, a na przedmieściach – włościan. Z zakładów przemysłowych w tym czasie czynna była tylko gorzelnia parowa braci Rosenstocków.

Zabytki. Ruiny zamku warownego z 1630 r., zbudowanego w czworobok z kamienia łupanego, z czterema pięciobocznymi basztami na rogach, zniszczonego w czasie wojen kozackich, odbudowanego w XVIII w. Zachowana brama wjazdowa z końca XVIII w., ozdobiona na szczycie kamienną figurą rycerza w hełmie.

Kościół parafialny pw. NPMarii, mурowany, z wysoką wieżą, konsekrowany z 1827 r., został wysadzony w powietrze za czasów władzy sowieckiej. Synagoga mурowana z XVII w. W rynku stare domy z podcieniami i facjatkami.

Czasy obecne. Parafia rzym.kat. reaktywowana w 1989 r. Na miejscu zburzonego kościoła w budowie jest nowy, mniejszy od dawnego, lecz nawiązujący do tamtego stylistycznie. Obecnie nabożeństwa odprawiane są w kaplicy urządzonej na plebanii. Proboszczem jest obecnie ks. Roman Stadnik.

Wg spisu ludności z 1981 r. w Skałacie żyje ok. 240 Polaków.

Wszystkie hasła opracowała dr Maria Taszycka.

i moich dwóch braci bliźniaków, obserwowaliśmy z półpiętra najpierw przyjeżdżające, a później odjeżdżające sanie. Był to piękny widok, gdy tak posuwały jedne po drugich, z dźwiękiem janczarów, przystrojone. Konie w uprzęży czarnej lub brązowej ze świecącymi złotymi lub srebrnymi ozdobami, a wszystko wyczyszczone i błyszczące. Przy głowach kolorowe pompony i barwne wstążki w zaplecionych grzywach i ogonach.

Wieczorem przychodzili kołędnicy ze wsi i odgrywali jasełka. Była naturalnie Święta Rodzina, Herod z całym dworem, pastuszkowie, wieśniacy, Trzej Królowie, Żyd i naturalnie przerażająca śmierć oraz nieznośny diabeł. Było ich nieraz tak dużo, że ledwie mieścili się w dosyć przestronnym holu. Święta ruskie były dopiero za tydzień, tak

że czasem kołędnicy przychodzili znowu w święto Trzech Króli. Trochę się bałam diabła, czarnego i machającego batem, i śmierci – chudej, w białym prześcieradle z ubieloną twarzą, z kosą w rękę.

Tak było co rok, odkąd mieszkaliśmy w Kremerówce i wydawało mi się, że tak będzie zawsze. Nie wiedziałam, że było to po raz ostatni w moim życiu. Wszystko, co działo się w tym 1938 roku, było dla mnie i mojej rodziny po raz ostatni. Nowy Rok 1939 obchodziliśmy już w innym domu i w innych warunkach. Ojciec przeszedł do pracy w Cukrowni Chybie na Śląsku Cieszyńskim.

W innym miejscu tego numeru zamieszczamy apel autorki w sprawie dawnych mieszkańców Kremerówki.

Pamięci Juliusza

(ciąg dalszy ze s. 26)

poczyniliśmy naprawdę milowe kroki i wiorakie wprowadzili udoskonalenia, rzecz urzeka umiłowaniem przedmiotu, bystrością obserwacji, śmiałością (stwierdzonych przez praktykę) sformułowań i perspektyw.

W roku 1950 wyjeżdża na wczasy do Zakopanego, skąd pisze kartkę z zapowiedzią przyjazdu do Makowa Podhalańskiego, gdzie podówczas „dyrektorowałem” tamtejszemu Liceum i Technikum. Zdrowie nadwątlone nie pozwoliło mu na odwiedzinę. A mieliśmy szerzej omówić bibliografię jego rozlicznych artykułów i wypowiedzi na tematy radiowe i literackie. Co gorsza, na stosie w Olkuszu spłonął w 1939 r. z nakazu „brunatnych władców” cały mój księgozbiór, którego ozdobą prócz wspomnianych *Lwich serc* był dramat Juliusza, poświęcony postaci Maurycego Mochnackiego, pod tytułem *Mocarze ducha*. Nomen-omen! Nie tylko o nich tak chętnie pisał: sam był m o c a r z e m d u c h a mimo wątłego zawsze zdrowia. Kryształowy charakter: człowieka i pisarza, wart jest obszerniejszego biogramu. Nie wątpię, że go napiszą jego bezpośredni współpracownicy. Dobrze sobie na to zastrzyż.

JACEK JEDLIŃSKI, ur. 1899 we Lwowie. Ukończył studia prawnicze i filozoficzne na Uniwersyte-

cie Jana Kazimierza, doktor. Był dyrektorem gimnazjów w Turce, w Solcu n. Wisłą i Olkuszu. Jako uczestnik kampanii wrześniowej ewakuowany do Rumunii, założył tam pierwszą polską szkołę w Ploesti oraz *wolny uniwersytet* dla uchodźców z Polski w Campolung-Muscel. Po wojnie osiadł w Makowie Podhalańskim, był dyrektorem szkół. Oddawał się pracy społecznej i kulturalno-oświatowej. Na emeryturze od 1955. W ostatnim okresie życia był kierownikiem archiwum w Jędrzejowie, pisał felietony i wiersze. Zmarł w Krakowie, 1965.

JÓZEF DRZAZGA, ur. 1915 we Lwowie. Po średniej szkole handlowej pracował w urzędzie pocztowym w Sasowie w Złoczowskim aż do II wojny światowej. W czasie okupacji niemieckiej był księgowym w spółdzielni rolniczo-handlowej i zarazem przewodniczącym Delegatury RGO w Sasowie. Prowadził działalność charytatywną na rzecz Polaków z Huty Pieniackiej i okolicznych wsi. W tym okresie miał kontakt z J. Petrym i ks. M. Rękasem, organizując przerzuty Polaków (ok. 80 osób) z Sasowa w Rzeszowskie. Był członkiem AK. W 1944/45 został wzięty do Armii Czerwonej i WP, a następnie wyjechał z rodziną na stronę polską. Od 1945 pracował w Górze Śl. i Nysie w handlu spółdzielczym i w administracji na kierowniczych stanowiskach. Od 1976 na emeryturze. Przez 60 lat uprawiał turystykę, ma uprawnienia przewodnika po Tatrach, Beskidach i Sudetach. W 1989 założył w Nysie oddział TMLiKPW.

A P E L

Poszukuje się dawnych mieszkańców wsi *K r e m e r ó k a* koło Chodorowa. W czasie okupacji sowieckiej cała jej polska ludność została podobno wywieziona na *nieładzką ziemię*.
Czy są osoby, które stamtąd wróciły? Gdzie przebywają?

**O ewentualne wiadomości i kontakt prosi Maria Barbara Hetnał,
48-300 Nysa, ul. Mickiewicza 45A, tel. 077 / 435-86-15**

W następnym numerze:

Ojciec Święty we Lwowie ❖ Beatyfikacja ❖ O biskupie Kiernickim ❖ O radiu księdza Rękasa ❖ Obroszyn, rezydencja arcybiskupów lwowskich

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Miasta Krakowa oraz Oddziału Szczecińskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

Na I stronie okładki: kamienica Massarich przy Rynku we Lwowie. Rysunek Zbigniewa Haicha

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościk, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Barbara Kościk, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska, Jacek Walczewski

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28, e-mail: fall@inetia.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Spis treści

Słowo od Redakcji
POLSKA KULTURA LWOWA
NIE MOŻE ZAGINAĆ

Barbara Czałczyńska
FELIETON O POECIE

Hem ar
Krystyna Gerlach-Czuma
LWÓW – WARSZAWA – LONDYN
Justyna Nowak
STARSZY STRZELEC MARIAN HEMAR

Poezja
Marian Hemar
ZAWÓD: LITERAT ◆ MOJA OJCZYZNA ◆
MONTE CASSINO ◆ SENSE OF HUMOUR
◆ VALSE BRUNE ◆ AKROBATA MUCHA
◆ SAŻARTY

Rozmowy
Janusz M. Paluch
ROZMOWA Z PROF. S.S. NICIEJĄ

Archiwum
BENE MERENTI

Proza
Michał Witwicki
SPOTKANIE ZE SŁOWACKIM

Tadeusz Łodziana
LWÓW, SOPÓT, WARSZAWA

Józef Drzazga
JULIUSZ STEFAN PETRY
Jacek Jedliński
PAMIĘCI JULIUSZA

Wystawa
CO BY BYŁO GDYBY...
Jerzy Madeyski
GENIUS LOCI

Sylwetki
Maksymilian Jamnicki
BODO

Karol Odrycki
JEDEN Z WIELU STROŃSKICH

Z tamtej strony
Elżbieta Mokrzyńska
DZIWNĄ ZGODNOŚĆ

Marek Wenecki
A MIAŁ BYĆ ROZKWIT

Joanna Żółkiewska
FRANCISZEK KARPIŃSKI

WYDARZENIA

Polacy z Polakami
DO ZAPAMIĘTANIA

W Krakowie i dalej
Kazimierz Selda
GENERAŁ SIKORSKI
NOTATKI

Kultura ◆ Nauka
Maria Klara Bohomolec
FOTOGRAFIA TEATRU,
TEATR FOTOGRAFII

Jerzy Masior
MŁODZIEŻ SADECKA W RUDKACH
KRONIKA

Słownik geograficzno-
-historyczny
BORSZCZÓW ◆ DOLINA ◆ HORODENKA
◆ KOPYCZYŃCE ◆ KOSÓW
◆ NADWÓRNA ◆ SKAŁAT

Książki ◆ Czasopisma
Tadeusz Kukiz, Stefan S. Łukowski,
Danuta Tryłska-Siekańska
NOWE KSIĄŻKI

Malwina Piskozub
ZWIASTUN SAMBORSKI

Elżbieta Mokrzyńska
WERTUJĄC WYDAWNICTWA

Listy